

bezwierszówki

SDP

RADA
ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH
MIASTA OLSZTYN

Miesięcznik społeczno-kulturalny

ISSN 1732 7327

Rozmowa pięciolecia

Każdy potrzebuje swego miejsca

– Jestem czytelnikiem czy, ogólnie rzecz biorąc, odbiorcą wymagającym. W związku z tym wolę zostawić redagowanie pism specjalistom, dziennikarzom, także organizacjom pozarządowym, nie urzędnikom. Róbnym przyzwoicie to, na czym się najlepiej znamy. – Z Jackiem PROTASEM, Marszałkiem Województwa Warmińsko-Mazurskiego rozmawia Ewa Domeracka.

– Panie Marszałku, nie jest Pan chyba statystycznym odbiorcą informacji. Spodziewam się, że jako Marszałek Województwa, szef Komisji do spraw Polski Wschodniej przy Związku Województw RP czy Prezydent Euroregionu Bałtyk chce Pan i potrzebuje być bardziej na bieżąco, niż zwykły czytelnik, słuchacz, widz. Tym bardziej, że prawie codziennie komentuje Pan rzeczywistość. Czego Pan poszukuje w mediach i jak Pan ocenia dzisiejsze dziennikarstwo?

– Niebezpieczne pytanie... Jak większość społeczeństwa jestem stałym odbiorcą tak zwanych niusów i publicystyki. Zaczynam dzień od wiadomości w radiu i codziennej prasy na biurku, w ciągu dnia przeglądam Internet, wieczorem skupiam się na komentarzach politycznych i gospodarczych w telewizji. W dobie światowego kryzysu tym bardziej cenię dobre, rzetelne analizy i komentarze ze świata gospodarki. Z drugiej strony w wolnych chwilach uciekam do reportaży, naszej polskiej specjalności i ubolewam, że można go znaleźć już chyba tylko w „Dużym Formacie”, poniedziałkowym dodatku do „Gazety Wyborczej” albo w formule „Na własne oczy” w „Polityce”.

– Jakies nazwiska, jacyś ulubieni reportażyści, czy ogólniej dziennikarze?

– Niezmiennie niedościgniony Ryszard Kapuściński. Ale podziwiam obecnych na łamach „Wyborczej” innych reportażyistów, takich jak Hanna Krall, Mariusz Szczygieł, Jacek Hugo-Bader, Wojciech Jagielski czy mistrzyni rozmowy Teresa Torńska. Niezwykle cenię media regionalne i lokalne, bo to skarb-



Staje się już tradycją, iż przedstawiciele Oddziału Olsztyńskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w dniu zamordowania Seweryna Piętnego w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Hohenbruch, 24 lutego 1940 roku, składają kwiaty pod kamieniem upamiętniającym tę rocznicę.

Patrz też str. 14

nica wiedzy o mieszkańcach Warmii, Mazur i Powiśla, wiadomości o tym, jak na co dzień wygląda nasze życie.

– Jeśli chodzi o wymienionych przez Pana reportażyistów – część z tych autorów ma komfort pisania raz na kwartał! Nie wiem, czy ktoś z moich kolegów dziennikarzy na Warmii i Mazurach ma taki luksus.

– Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Przecież pracuję z dziennikarzami na co dzień, spotykamy się po kilka razy dziennie w najróżniejszych sytu-

acjach. Wcześniej myślałem, że najbardziej zapracowani, zaganiani ludzie na świecie to politycy i samorządowcy, teraz widzę, że także dziennikarze. To niczyja wina, wiadomo, że komunikacja zamierzona nie zawsze staje się realną. Mam wrażenie, że dzieje się to kosztem wszystkich, i dziennikarzy i odbiorców mediów. Może jestem staroświecki, ale tak jak od każdego innego dzieła, tak samo od przekazu medialnego oczekuję spełnienia nie tylko funkcji poznawczych, ale także estetycznych.

dokończenie str. 3

Nie lubię jubileuszy

Na ogół nie lubię ich. Wyjątkiem ten. Wprawdzie pięć lat, jakie upłynęło od ukazania się pierwszego numeru, to ziarnko piasku, lecz w tym – naszym przypadku, to dużo. Po pierwsze dlatego, że bodaj nikt już nie wierzy w sens zawodowego bratania się w strukturach stowarzyszeniowych. Kto ma na to czas, tym bardziej, że „z tego nikt nic nie ma”. Bycie w zawodowej wspólnotce (ze statutem, składkami, skarbnikiem, zarządem, prezesem) jest rodzajem terapeutycznego prysznica – w końcu współbracia cię czytają i oceniają. Po drugie – posiadanie własnego biuletynu tę więź, a także stawanie na straży zawodowej prawości, pogłębiają. Tu i ówdzie tradycyjne dziennikarstwo wymyka się spod samokontroli (sumienie), spod kontroli zewnętrznej, uwalnia się pod presją nacisków komercyjnych etc. W efekcie tzw. wyrzuty sumienia nie świerzbą, nikomu krzywda się nie dzieje, co najwyżej rodzi się na łamach gazet, antenach radia, TV, interesująca dyskusja „wokół cokolwiek kontrowersyjnego tekstu, postawy czy oceny”.

Kiedyś zapytano Jana Pawła II co to znaczy być zawodowym dziennikarzem? On odparł – „to po prostu znaczy być osobą prawą. To znaczy sięgać najwyższych ideałów doskonałości zawodowej, pragnącym zawsze dać to, co ma najlepszego. To znaczy mieć odwagę szukać i relacjonować prawdę, nawet jeśli jest ona niewygodna lub nie jest uznawana za politycznie poprawną. To znaczy informować nie tylko o złych uczynkach i tragediach, ale także o pozytywnych i podnoszących na duchu czynach. To znaczy dawać przykłady nadziei i heroizmu światu tak rozpaczliwie ich potrzebującemu”.

Jeżeli udaje się nam, choć w stopniu minimalnym osiągać to, co wyliczył Papież, jeżeli mamy świadomość, że osiągniemy więcej i innych do tego przekonamy, to zawodowe bratanie się w strukturach stowarzyszeniowych i wydawanie biuletynu – mają sens. Wierzę, że – w trudnej do określenia przyszłości – wróci potrzeba organizowania się w dziennikarskie stowarzyszenia. Wartości zawsze pozostaną wartościami.

Krzysztof Panasiak

Na WIELKANOC – radości, pogody
i łask Zmartwychwstałego

– życzy czytającym Zespół Redakcyjny

Na fotografii śliczna młoda brunetka. To znaczy kiedyś taka była. Dziś jej nie ma. Bo wypuszczony na wolność mąż ją zarznął, jak obiecywał od dawna. Pomimo, że było to powszechnie wiadome, prokuratura nie miała podstaw, żeby zatrzymać go w areszcie. Tak oświadczyła na wizji pani prokurator. Ale, żeby zatrzymać prezydenta Olsztyna J. Małkowskiego – to miała podstawy. On – o ile mi wiadomo – nie obiecywał, że kogokolwiek zarznie. Pomimo to wywleczono go na oczach wszystkich z urzędu jak bandziora.

Mój felieton

Coś w tym jest!

Joanna Wańkowska - Sobiesiak

Przypomniało mi się to, bo jego następca Tomasz Głazewski na łamach „Gazety Olsztyńskiej” oświadczył, że sprawa Małkowskiego ma drugie dno, i że nikomu nie życzy, żeby go tak załatwiono jak Małkowskiego. Głazewski widzi drugie dno. Prokuratura nie widziała.

A tak w ogóle, piszę ten felieton dlatego, że Leszek Szumowski w 10. numerze „Angory” opublikował tekst „Śledztwo niepożądane” gdzie czytamy czarno na białym: „Sejmowa komisja śledcza wyjaśni całą prawdę o porwaniu i zabójstwie Krzysztofa Olewnika tylko wtedy, jeżeli zajmie się również rolą organów ścigania w zatuszowaniu tej zbrodni”. I dalej „Przez ponad rok Prokuratura Okręgowa w Olsztynie nie była w stanie przesłuchać biznesmena z Zielonej Góry – Zbigniewa P. Teraz próbuje go przesłuchać Zamiejscowy Wydział Prokuratury Krajowej w Gdańsku. Próbuje bezskutecznie, bo po

Zbigniewie P. słuch zaginał”. Jak dalej pisze autor Zbigniew został prawdopodobnie zastrzelony. Co do przyczyn to są dwie wersje: „Według drugiej, z prokuratury wyciekły informacje, że ma zostać przesłuchany”

Dalej, wolę nie pisać, przeczytajcie „Angorę”. Włos się jeży.

Jeży i jeżyć się będzie tak długo, jak długo prokuratura będzie organem podległym ministrowi sprawiedliwości, a więc politykom. Szkoda, że obiecywane w czasie kampanii wyborczej rozdzielanie tych dwóch funkcji, jakoś nie dochodzi do skutku.

A wracając na nasze podwórko: Głazewski uważa, że to dziennikarze rozrobili sprawę Małkowskiego. I to oni powinni teraz odnaleźć jej drugie dno. Zgadzam się z tym w pełni. Najlepiej ci sami, którzy tak ją nagłaśniali. W sumie będzie im łatwiej. Znają ją chyba od podszewki.

Wspólny komunikat

Rzecznika Praw Obywatelskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Wolność słowa zaliczana jest do podstawowych praw człowieka. Odnosi się do możliwości pozyskiwania informacji oraz swobodnego wypowiedzania poglądów, w szczególności o sprawach publicznych.

Wolność słowa gwarantowana jest w szeregu aktów prawa międzynarodowego – Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, Międzynarodowym Pakcie Praw Obywatelskich i Politycznych, a także w ustawodawstwie państw demokratycznych.

Nasz sprzeciw budzi fasadowość gwarancji wolności słowa.

19 lutego 2009 r. sąd w Moskwie uwolnił oskarżonych o udział w zabójstwie obrończyni praw człowieka, komentatorki i dziennikarki śledczej „Nowej Gazety” Anny Politkowskiej, które miało miejsce w dniu 7 października 2006 r. Zbrodnia ta, podobnie jak szereg innych, których ofiarami byli dziennikarze wykonujący swoje obowiązki, pozostaje bez należytego wyjaśnienia. Jednym z podstawowych powodów tego stanu rzeczy są nieprawidłowości występujące w toku śledztwa i dalszego postępowania odpowiednich organów państwowych.

Pragniemy podkreślić, że prawem i obowiązkiem dziennikarzy jest dochodzenie i ujawnianie prawdy. Obowiązkiem władz państwowych jest zagwarantowanie warunków realizacji tej misji.

Państwa prezentujące się na arenie międzynarodowej jako demokratyczne zobowiązane są do obrony prawa obywateli do prawdy i prawa dziennikarzy do wolności upowszechniania tej prawdy. Zgodnie z informacjami międzynarodowej organizacji „Reporterzy bez granic” od marca 2000 r. w Rosji zamordowano dwudziestu dziennikarzy, w stosunku do wielu zastosowano groźby i przemoc fizyczną, kilkadziesiąt osób uprowadzono. Morderstwa dziennikarzy oraz brak odpowiedniej determinacji w ściganiu winnych tych zbrodni podważa wiarygodność rządów nazywających się „demokratycznymi”.

Janusz Kochanowski

Rzecznik Praw Obywatelskich

Krystyna Mokrosińska

Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Wolny Tybet i co dalej?

Nina Złakowska

Już od paru lat, a może i więcej, w żadnym z kalendarzy – bez względu na wydawcę – nie ma wyróżnionych takich dni, jak Środa Popielcowa, Wielki Post, Wielkanoc. Myślę o kalendarzach „świeckich”, bo kalendarz „Posłańca Warmińskiego” honoruje wszystkie kościelne święta. Podobnie na pewno jest w innych kalendarzach dołączanych do pism katolickich. Ja myślę o tych, które kupujemy sobie z różnych okazji, bo istotnie nadają się na prezent. Jeżeli chcę się jednak z nich dowiedzieć, kiedy przypada Wielkanoc, szukam dwóch zaznaczonych na czerwono niedzieli i poniedziałku, a potem „odejmuję” i ustalę, na przykład, „ostatki”. Niby nic, ale oznaczenie pewnych dni ułatwiało trochę towarzyskie plany. Najdziwniejsze zaś to, że posty zaznaczone były w kalendarzach w czasach „pelelowskich”. Nie mam zamiaru z nostalgią wspominać tamtych lat przez pryzmat kalendarzy, ale myślę, że można uczyć wydawców; niech je przejrzą i może z nich skorzystają. To tyle o kalendarzach przy okazji „tłustego czwartku”, kiedy o mały włos nie przegapiłabym pączków.

Dnia poprzedniego natomiast (18.02. br.) w „Gazecie Olsztyńskiej” przeczytałam: „Na najbliższej sesji radni zajmą się też kwestią nadania skwerowi nad Jeziorem Czarnym przy ulicy Bałtyckiej miana Wolnego Tybetu. Autorem tej propozycji jest Grzegorz Smoliński, przewodniczący klubu Prawo i Sprawiedliwość w olsztyńskiej Radzie Miasta”. Zanim zrozumiałam, że to nie groteska żywcem wyjęta z Witkacego czy Mrożka, trwało to dość długo. Mam wielki szacunek dla dążeń Tybetu i Dalajlamy, ale to, co proponuje Pan Radny... przepaszam. Idea może i szlachetna. Ja sekunduję Tybetańczykom od początku i życzę im wolnego państwa, ale ta propozycja... wybacz Pan Radny, jest odrobnie zabawna. Niech tylko się zwindzą mieszkańcy Tybetu, że na skwerze przy Bałtyckiej jest upragniony wolny kraj, a przyjadą tu wszyscy, a potem...? A potem, oczywiście, nastąpi historii ciąg dalszy...

P.S. Berling, jak był patronem jednej z ulic na Osiedlu Generałów, tak jest do dziś. A czemuż by nie?

Andrzej Zb. Brzozowski

Limeryki dziennikarskie

„5-lecie Bez Wierszówki”

Z tej okazji gratulacje,
Kwiaty, szampan i laudacje,
Dołączając się do życzeń,
Wyrwałości wszystkim życzę,
I pozdrawiam też redakcję.

„Jubileuszowa refleksja”

„Bez Wierszówki” ma pięć wiosen,
Tu nieśmiały pytam głosem,
Komu można szepnąć słówko,
By kolejne już z wierszówką?
Tylko pytam, a nie proszę!

Bez wierszówki – miesięcznik społeczno-kulturalny Oddziału SDP w Olsztynie,
www.sdp.pl, www.wim.ngo.pl; My w Internecie: www.zycieolsztyna.pl, www.onet24.pl
Prezes oddziału: Joanna Wańkowska-Sobiesiak (tel. 089 523-26-11)
joanna-wankowska@wp.pl

Redaguje: Krzysztof Panasiak z zespołem; krzychpanasiak@gmail.com (kom. 695-782-690)
bezwierszowki@o2.pl. DTP: Paweł Lik pawel@zycieolsztyna.pl

Druk: Studio Poligrafii Komputerowej "SQL" s.c.. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie publikujemy.
Nakład 300 egz.

Konto oddziału SDP w Olsztynie: Bank Pekao S.A.

O/Olsztyn 4012405598111000050316164

Wydano przy pomocy finansowej Samorządu Miasta Olsztyna

dokończenie ze str. 1

Każdy potrzebuje swego miejsca

– W wielu gminach, także w wielu samorządach regionalnych, urzędy wydają pisma. Nigdy Pana nie korciło, jako Marszałka Województwa, by stworzyć i wydawać regionalny tytuł?

– I meldować społeczeństwu wykonanie zadania? Mówiąc poważnie – jestem czytelnikiem wymagającym, wolę zostawić redagowanie pism specjalistom, dziennikarzom, także organizacjom pozarządowym, nie urzędnikom. Róbnym przyzwyczajeniom, na czym się najlepiej znamy. My wydajemy konkretne biuletyny, głównie z myślą o beneficjentach programów unijnych, tłumaczymy zawiłe procedury, pokazujemy dobre praktyki, analizujemy znajomość własnych potrzeb i pomysły na rozwój naszych samorządów, instytucji, szkół, przedsiębiorstw i wszystkich innych grup, które korzystają z funduszy pomocowych. Na to w mass-mediumach nie ma wiele miejsca czy czasu. Co innego wkład w ambientne, przekrojowe wydawnictwa, związane z regionalistyką, historią, tradycją i wielokulturowością naszych ziem, jak chociażby wydawnictwo „Pamięć – wyzwanie dla nowoczesnej Europy” pod redakcją prof. Roberta Traby, „Szkicownik” Hieronima Skurpskiego czy zbiór podań ludowych z Mazur „Tragarz duchów”, zebranych przez Jerzego Marka Łapę. W takie wydawnictwa, jako Samorząd Województwa, bardzo chętnie się angażujemy, ale z dziennikarstwem nie ma to wiele wspólnego.

– Takie wydawnictwa świetnie udają się na Śląsku. Z podziwem oglądałam wydawnictwo „Medium mundi”, reklamowane jako ożywcza propozycja interdyscyplinarnej i multitematycznej refleksji, podejmowanej w celu lepszego zrozumienia naszego miejsca bycia. Niebawem są hasła kolejnych wydań, jak choćby „Miejsce spotkania”, „Kamień drogocenny” czy „Miasto i czas”. Rzecz przekrojowa, przemyślana, piękna edytorsko, wydana przez Miejski Dom Kultury w Chorzowie. Czy widzi Pan takie szerokie płaszczyzny do refleksji także na Warmii i Mazurach?

– Bez żadnego wysiłku od razu mogę wskazać co najmniej

trzy, ważne historycznie i współcześnie. Przede wszystkim 600. rocznica Bitwy pod Grunwaldem, którą w skali międzynarodowej będziemy obchodzić w 2010 roku. Aż się prosi o współczesny komentarz do wydarzenia, które sześć wieków temu wpłynęło na naszą część Europy. W 2010 roku czeka nas także „pogrzeb” zbadanych szczątków Mikołaja Kopernika we Fromborku. Sprawdzamy także znalezione pozostałości sprzętu, którego używał Kopernik. Odkrycie podestu badawczego wielkiego astronoma i administratora Kapituły Warmińskiej byłoby niezaprzeczalnie ogromnym sukcesem, przynoszącym zaszczyt i sławę regionowi, w którym spędził najwięcej swojego aktywnego życia. Cieszę się, że kolejne fakty pokazują, jak mocno Kopernik był związany z Warmią. A odkrycia warte są dalszych badań archeologicznych. Następny wielki temat, przy którym będziemy współpracować z Polskim Towarzystwem Badań nad Wiekiem Osiemnastym, to opracowanie redakcyjne i edytorskie, a następnie wydanie drukiem „Kalendarium życia i twórczości Ignacego Krasickiego”, dzieła przygotowanego przez ś.p. prof. Zbigniewa Golińskiego.

– Nie musimy mieć zatem kompleksów wobec takiego Śląska?

– My mamy jeszcze ciekawiej i już sama dyskusja, kto i co ma być podmiotem rozważań – czy Warmia, czy Mazury, czy cały współczesny region, czyli województwo warmińsko-mazurskie – jest historycznie ważna, potrzebna współcześnie i inspirująca na przyszłość.

– Pana zaangażowanie w szukanie takich regionalnych tropów to bardziej misja czy obowiązek?

– Uważam, że jedno i drugie. Po pierwsze urodziłem się tutaj, tu urodził się mój syn, to miejsce wybrałem do życia. A po drugie, prócz wielu spraw, którymi na co dzień zajmuje się Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego – administrowaniem wieloma naszymi jednostkami, projektowaniem rozwoju regionalnego i jak najlepszym wykorzystaniu funduszy unijnych dla dobra następnych pokoleń – obowiązkiem władz województwa jest także



Na pięciolecie „Bez Wierszówki”

Życzę Państwu wytrwałości w kontynuowaniu wydawania pisma oraz uporu w prezentowaniu dobrego dziennikarstwa. Liczę na dalsze lata współpracy dla dobra ludzi regionu Warmii i Mazur

– Jacek Protas

Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego

troska o dziedzictwo kulturowe. Ta troska musi być tu szczególna, bo szczególnie jest region, w którym żyjemy. Współczesna wielokulturowość naszych ziem jest znacznie bardziej skomplikowana, niż tylko skutki wydarzeń XX wieku. To palimpsest – metafora wielości, wieloznaczności, historycznych i współczesnych kolorytów. To jak zeskrobywanie warstw farby, które narosły przez lata. To genialna przygoda. I taki przekaz formułujemy dziś do młodego pokolenia, żeby wiedziało, jak ważne jest poczucie własnych korzeni. Do pokolenia, które tu przyszło na świat, tu wyrosło, a którego przedstawiciele coraz częściej korzystają z atrakcyjności otwartego świata.

– Czy młodym ludziom w XXI wieku, w dobie zjednoczonej Europy, potrzebna jest taka wiedza?

– Naszym zadaniem, nie tylko samorządowców, ale także dziennikarzy, naukowców, ludzi świata sztuki, związanych z regionem, jest uświadomić im, że każdy człowiek potrzebuje swojego miejsca, jakiegoś zakotwiczenia, poczucia korzeni, świadomości terytorium i tradycji, historii i obyczaju. Najgorzej być człowiekiem znikąd, bo wtedy idzie się donikąd. To jest sfera uczuć, wrażeń, wrażliwości, ale to jest konieczne do funkcjonowania. Poczucie własnej tożsamości uwrażliwia człowieka, nadaje życiu sens. Stąd dążenie do uświadomienia sobie własnych korzeni. I ta świadomość jest elementem budującym, konstruktywnym, pozytywnym, bo motywuje do działań na rzecz swojego środowiska, swojej wspólnoty. Poza tym, pielęgnowanie własnych tradycji, to wartość uniwersalna i nie wyklucza unifikacji w skali europejskiej czy globalnej.

Zszywka „Bez wierszówki” zajmuje poczesne miejsce na moich półkach z prasą regionalną. Zawsze optowałem za powstaniem naszego dziennikarskiego pisma, a jego stałym autorem zostałem niemal od początku, wspierając jej pierwszego redaktora, bezrobotnego wówczas Tadeusza Prusińskiego.

Azyl bezrobotnych

Jerzy Pantak

Zawsze lubiłem nowe wyzwania, pisałem więc drobne informacje, ważne dla naszego środowiska, przez kilkanaście miesięcy analizowałem gminne i środowiskowe wydawnictwa w cyklu „Prasa lokalna” (do dziś zbieram wszelkie nowości z tej dziedziny, mam już niezłą „historyczną” biblioteczkę).

W 2004 roku dla mnie, dziennikarza przed emeryturą – bezrobotnego po raz piąty, czy szósty w życiu – była to potrzebna terapia. „Bez wierszówki” wsparło mnie także moralnie, gdy z powodu drobnego przeżyczenia wydawca „Gazety Olsztyńskiej” wytoczył mi kosztowny proces, najpierw karny, potem cywilny, w jednym z najgorszych momentów mojego życia. Proces skończył się po wielu miesiącach pojednawczą ugodą. Wtedy pisanie do „Bez wierszówki” było początkowo moją jedyną radością.

Z obawą

Toteż z zaskoczeniem, ale i radością, w lutym 2006 roku przyjąłem propozycję Zarządu Oddziału SDP, by redagować BW, bo Tadeusz znalazł wreszcie pracę w Radio Olsztyn. Zacząłem od numeru marcowego, 22. z kolei, pełen obaw, czy podołam. Bo wcześniej, pod koniec 2004 roku, zaangażowałem się w kolejne przedsięwzięcie – współredagowanie nowego, kolorowego magazynu – „Nowego Życia Olsztyna” (jemu też wkrótce stuknie 5 lat!). Na szczęście problemów ze składem i drukarnią nie było, choć zmieniłem komputerowca od składu i łamania – został nim obiecujący adept dziennikarstwa Paweł Lik, wówczas jeszcze uczeń LO. Ks. Janek Rosłań z „Posłańca Warmińskiego” niczem się nie dziwił: lubiliśmy gawędzić na różne tematy.

Wprowadziłem nowe rubryki: „Od redaktora”, „Co piszczy w branży”, internetowy przegląd „Wokół prasy” i satyryczne ry-

sunki Zbyszka Piszczako. Największym wyzwaniem okazała się wielomiesięczna, ale owocna, współpraca z Radą Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyna. To z inicjatywy Zbyszka Wytrązka użyczyliśmy jej kilku kolumn na propagowanie nowych pomysłów. To na łamach BW po raz pierwszy ukazał się publicznie projekt Olsztyńskiego Centrum Organizacji Pozarządowych, które otworzyło podwoje pod koniec ubiegłego roku! Współpraca z ROPMO pomogła nam też w zdobyciu kilku nagród w konkursach na inicjatywy oraz pieniędzy na wydawanie BW (która rosła czasem do 12 kolumn!). A Zbyszek stał się kolejnym stałym autorem felietonów i komentarzy (też był wtedy bezrobotny!). Stale zaczęła też pisać prezes naszego oddziału Joanna Wańkowska-Sobiesiak, choć równolegle tworzyła swe pierwsze reporterskie książki. Jej cykl „Pisać każdy może, lepiej lub gorzej” przyprawiał o zgrzytanie zębów wielu krytykowanym żurnalistów.

Konik lokalności

Cieszyłem się, jak z kabaretowego prześmiewcy Andrzeja Zbyszka Brzozowskiego wyraść prawdziwy dziennikarz. Miał niezwykle rzadką cechę oprócz pracowitości – dotrzymywał terminów i objętości tekstów, jak mało kto. Jego cykl „Twarze olsztyńskich mediów” zasługuje na uwagę historyków prasy.

Z sympatią śledziłem akcje prasowe i sukcesy kolegów z innych redakcji, nie tylko z „Gazety Olsztyńskiej”, Radia Olsztyn czy telewizji (Dziennikarz Roku: 2005 – Andrzej Mielnicki z GO, 2006 – Joanna Wojciechowska z GW), ale zwłaszcza tych maleńkich, jak „Goniec Ornecki” Grzysia Radzickiego, czy internetowe „Nasze Mazury” Zygmunta Wojnara. Odnotowywaliśmy kolejne rocznice ukazywania się gazet w terenie.



rys. Aleksander Wołos

Przy okazji, warto wrócić do tematycznego konkursu tylko dla lokalnych, gminnych wydawnictw! Tylko kto go zasponsoruje? Wtedy pieniądze na główną nagrodę dał ówczesny senator Jerzy Szmit.

Przez cały czas na łamach BW toczyła się dyskusja o nieistniejącym oficjalnie zawodzie ... dziennikarza i roli mediów. Świadczą o tym tytuły artykułów, np.: „Stracimy koszty uzysku?” (nr 24), „Dziennikarz, kto to?” (25), „A może korporacja?” (27-28), „Hipokryzja mediów” (30), „Wolność i odpowiedzialność” (31), „Jak zmienić prawo prasowe. O rangę zawodu” (nry 32-33, bo na początku roku i w wakacje wypuszczaliśmy numery „podwójne”, choć zazwyczaj o takiej samej objętości 8 kolumn).

Tak dotrwałem do jubileuszu 3-lecia, który obchodziliśmy hucznie przy okazji wręczenia nagrody Dziennikarza Roku 2006. Ale gdy jesienią 2007 roku ruszał ze swoją internetową gazetą Wacek Brudek, nie wytrzymałem

i włączyłem się do jej tworzenia. Z podobnym zamiarem nosił się Leszek Lik z „Nowego Życia Olsztyna” – na brak pracy więc nie narzekałem i musiałem wybierać. Powodziło mi się już lepiej, bo wywalczyłem (tocząc spór z ZUS) wcześniejszą emeryturę. Pora więc było poratować następnego bezrobotnego kolegę, zasugerowała prezes Joanna ...

Ostatni numer, który zredagowałem wspólnie z wymienionymi kolegami przypadł na wrzesień 2007 roku i nosił nr 40. Podjąłem się też redagować internetową stronę naszego oddziału (www.sdp.pl/olsztyn). Przyznaję, trochę ją ostatnio zaniedbałem. Aż tu nagle kolejny jubileusz BW – tym razem 5 lat! Cieszę się, że przyłożyłem do tego trochę swe go trudu.

Autor jest obecnie sekretarzem miesięcznika Warmii, Mazur i Powiśla „Nowe Życie Olsztyna” i autorem jego wydania internetowego www.zycieolsztyna.pl

Pięć lat „Bez wierszówki”

Pierwsza szesnastka

Tadeusz Prusiński

Któregoś lutowego dnia 2004 roku, gdy szukający pracy bezrobotny od roku redaktor P. przyszedł do prezeski oddziału SDP Joanny W-S z pomysłem, usłyszał: „Nie gadaj tyle, tylko rób”. I nieco ponad miesiąc później ukazał się pierwszy numer „Bez wierszówki”.

Wielką w tym zasługą Andrzeja Zalewskiego, specjalisty od komputerowego łamania tekstów i stron, którego red. P. poznał podczas pracy w „Gazecie Warmii i Mazur”... – ile to lat temu? Ho, ho, ho..., albo i jeszcze wcześniej. To Andrzej jest autorem szaty graficznej naszego miesięcznika, na którą mówi się teraz z cudzoziemską – layout. Tytuł wymyślił Janek Roslan, ksiądz redaktor, naczelny dwutygodnika „Posłaniec Warmiński” – żeby, jak powiedział, autorzy „BW” nie mieli złudzeń.

Nie będzie tabu

Założenie było takie, że pismo ukazuje się co miesiąc i drukuje teksty o sprawach środowiska. Z powodu chudej kiesy płaci za teksty symbolicznie, i to tylko bezrobotnym autorom. Ksiądz redaktor postanowił dołożyć swoją cegiełkę i drukował „BW” po kosztach własnych. Nakład – 300 egzemplarzy – utrzymuje się do dziś.

Pierwszy numer – „trochę retrospektywny” – miał sześć stron i ukazał się z datą 1 kwietnia 2004 roku. W słowie od redakcji znalazło się zaproszenie do współpracy. Redaktor deklarował, że „będziemy pisać o sprawach środowiska, obchodzących zarówno koleżanki i kolegów z mediów o zasięgu regionalnym, jak i lokalnym”. Zapewniał, że nie będzie tematów tabu.

Gdy dzisiaj czyta się zamieszczone w owym numerze „BW” teksty – serce rośnie. Wszystkie bardzo ciekawe i aktualne. Wypowiedzi doświadczonych kolegów po piórze o dziennikarstwie – zawodzie przejściowym, będące skrótem dyskusji podczas jednego z comiesięcznych spotkań oddziału, dzisiaj jawią się jako prorocze (ss. 5 i 6).

Z zespołem

Jak powstawał każdy numer miesięcznika „Bez wierszówki”? Zwyczajnie. Redaktor P. prosił o teksty Szanowne Koleżeństwo – i one spływały. Bardzo szybko powstał nieformalny zespół. Redaktora P. najdziel-

Poczet redaktorów naczelnych „BW”

- Tadeusz Prusiński
– pierwszy redaktor naczelny
- Jerzy Pantak
– drugi redaktor naczelny
- Ryszard Borkowski
– trzeci redaktor naczelny
- Krzysztof Panasik
– czwarty redaktor naczelny

niej wspierał tekstami Jurek Pantak. Kroku starali się dotrzymać Joasia Wańkowska-Sobiesiak i pisujący najczęściej pod pseudonimem Zbyszek Wytrązek. Sekundowali im Andrzej Z. Brzozowski, Bogumiła Nowak, Bożena Ulewicz, Krzysztof Panasik.

Sporadycznie pisywali m.in. Stanisław Wieczorek, Wojciech Serafiński, Wojciech Szalkiewicz, Władysław Bogdanowski, Wojciech Ogrodziński, Lech Brywczyński. W „Bez wierszówki” szlifowała swoje początki na zawodowej drodze Ada Romanowska, wówczas studentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, dziś dziennikarka „Gazety Olsztyńskiej” i portalu Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych AICT/IATC.

Redaktor P. zakończył redagowanie „Bez wierszówki” numerem styczeniowo-lutowym w 2006 roku, ponieważ znalazł pracę w Radiu Olsztyn. Pod jego kierownictwem powstało w sumie szesnaście numerów miesięcznika członków olsztyńskiego SDP. Pałeczkę od niego przejął kolejny bezrobotny redaktor – Jurek Pantak.



Tadeusz Prusiński (ur. 1954), absolwent studiów polonistycznych i dziennikarskich, zawodowo czynny od 1979 roku, specjalizujący się w reportażu, związany z olsztyńskimi redakcjami, współpracujący z pismami ogólnopolskimi (m.in. „Polityka”, „Puls Biznesu”, „Przegląd Polityczny”), autor antologii reportażu o Warmii i Mazurach „A dąb rośnie”, książek: „Jest teatr w Olsztynie”, „Straże pożarne Warmii i Mazur. Zarys dziejów”, „Z prądem łatwiej”, „Milczący komedianty” oraz artykułów w prasie codziennej.

Ze słuchu

Felieton o „wypikiwaniu”

Jeden z moich ulubionych reżyserów, Kazimierz Kutz, świeżo upieczony osiemdziesięciolatek, zapytany przez dziennikarza „Teleexpressu” o to, co należy robić aby być tak sprawnym jak on, odpowiedział:

– Trzeba mieć pióro w d...

Oczywiście nie mówił o literze d z kropkami, tylko pełnym słowem nazwał tą część ciała, gdzie trzeba sobie wsadzić piórko, by mieć konieczne życiowe przyspieszenie, gwarantujące dobrą kondycję.

„Teleexpress” bynajmniej nie „wypikał” tego brzydkiego słowa, co do niedawna czyniono w mediach, usuwając niecenzuralne wyrazy.

Przełom w „wypikiwaniu” nieładnych słów nastąpił – moim zdaniem – wtedy, kiedy pracownicy TVP nie zdążyli skorygować idącej na żywo relacji z obrad Sejmiku RP i słynnej uwagi Marszałka Sejmu Józefa Zycha, który z trybuny zwrócił się do kolegi ze słowami: „Co ty m i tu, k... dajesz?” Zych uważa, że po tym, w rankingach popularności polityków jego notowania wzrosły o 7 punktów.

Używanie niecenzuralnych słów nie zaszkodziło również ani Tomaszowi Lisowi, ani Kamilowi Durczokowi i nie zniechęciło do nich społeczeństwa. „Wypikiwanie” ich słynnych uwag skierowanych do współpracowników w TV, a nagłośnionych w internecie sprawiłoby, że byłyby one niejasne. Tak soczyście były skonstruowane przez wypowiedających. Cytowanie ich w tym miejscu spowodowałoby prezentację sznureczka kropeczek, od czasu do czasu przerywanego pierwszymi literami słów.

Oczywiście nie piszę tego wszystkiego po to, żeby na koniec stwierdzić, że jestem za bluzganiem. Nie jestem, tak jak nie jestem za ogarniającym nas zewsząd powszechnym chamstwem. Ale przyznam, że wybuchłam szczerym śmiechem, kiedy przeczytałam odpowiedź pisarki Joanny Chmielewskiej, która na wzniosłe i wyszukane pytanie dziennikarki miesięcznika „Kocie Sprawy” brzmiało: „O czym Pani najczęściej rozmawia z kotami?”, wypaliła:

– Najczęściej mówię – „żryj cholero, bo drugi raz nie dam”.

Czy ta odpowiedź byłaby zabawna, gdyby była równie górnołotna, jak pytanie? Wątpię. Ale też słowo „cholera” to pryszcz, przy tym, co się obecnie słyszy. I to wszędzie.

Joanna Wańkowska - Sobiesiak

Nasze lektury

Skończona miłość



I udało się Witoldowi Mierzejewskiemu wydać – zapowiadaną zresztą na tych łamach – książkę „Geografia polskiej Warmii”, będącą rodzajem reprintu książeczki ks. Walentego Barczewskiego z 1918 roku pod tymże tytułem. Ależ to się czyta! Proboszcz z Brąszwaldu tak pisał we wstępie: „Na wielorakie życzenie podaję niniejszem większą ilość starodawnych i nowoczesnych nazw historyczno-geograficznych z południowej Warmii w brzmieniu polskim, po części z ksiąg kościelnych i innych dzieł, głównie zaś z ust ludzi starszych, bo młodzi lekceważą tu często język ojców, mozolnie zebranych.”

Barczewski od pierwszych zdań zagłębia się w zagadnienie sobie bliskie. Pisze czy raczej gawędzi o Warmii, jej dziejach, ale nie za wiele, by przejść do meritum – „nazw pól, łąk, gajów, bagien, oparczysek”. Kto dziś zna takie nazwy, sięgające staropolszczyzny czy czasów staropruskich, jak przecze („poprzek sztuk lub długich lech”), dłuższe, na sztukach, na działach, oparczyńska w niedostępnych grzępach, geleki – duże torfisko z małym laskiem, pod rasztubą, złotocka, korpela, niesławy, seperentka, barbuta, rokoczek, nacpele, kosmacz, świnię bagno i setki innych. W wszystko to przypisane poszczególne miejscowości – wsiom, przysiółkom, osadom, z których wiele tylko na kartach tej księgi i na starych mapach odnaleźć już tylko można. Świadczy to także o doskonałej znajomości każdego opisanego kąta, który – pewnie z księżego zatroskania o ludzi, a przy tym z badawczym kajetem w dłoni – proboszcz nie raz przemierzał.

Z lektury tej książeczki widać wielką miłość, z jaką ksiądz Walenty tu duszpasterzował, na wszystko spozierał z uwagą, korygował, w zadaniach budował, by na koniec ocenić, że dobre i dla ludu przystępne. Bo może i on lud, poznając swoje w druku, i sąsiedzkie w nazwach, także swoją miłość ku tej ziemi umocni.

Dzisiejsza edycja „Geografii polskiej Warmii” znacznie różni się od prawzoru. Na każdej stronie jest wycięty margines na przypisy, całość złożona jest kształtnym krojem czcionki, a każda lewa strona jest ilustracją, dodano notę wydawniczą i posłowie autorstwa dr. Jana Chłosty. Książka, co warte podkreślenia, ma charakter prawdziwego albumu (nie tylko ze względu na format), nie zawiera ani jednej reklamy. Bo też wydana została z uczuciem.

„Geografia polskiej Warmii” przez ks. Walentego Barczewskiego napisana, a przez współczesnych na nowo odkryta czeka już teraz tylko na czytelnicką akceptację. Bez tej książki zrozumienie Warmii jest trudniejsze.

„Geografia polskiej Warmii”, Agencja WIT
Witold Mierzejewski, Olsztyn 2008

Krzysztof Panasiak

Pływanie, rower i kochanka...

Dziennikarstwo jest jak pływanie czy jazda na rowerze. Jeśli raz się nauczyłeś i w tym zasmakowałeś, nawet po latach przerwy wystarczy jezioro albo rower...

Moich czterdzieści sześć lat „stosunków przerywanych” z tym zawodem zakończyło się półroczną przygodą z „Bez wierszówki”. A zaczęło się od pisania tu i ówdzie podczas studiów, pracy w korekcie „Gazety Olsztyńskiej” i prasoznawstwa. Potem było radio, w którym uczyłem się wszystkich dziennikarskich gatunków – najdłużej codziennego szaleństwa dzienników i żywego radia, ale też felietonu, komentarza, reportażu literackiego, publicystyki. Wreszcie dane mi było współtworzyć od podstaw pismo, którego kształt i formułę musieliśmy wymyślić – tygodnik mający zastępować dziennik, będąc pismem politycznym, publicystycznym, społeczno-kulturalnym, a nawet literackim, słowem: omnibus.

Znakomicie się nim podróżowało ze świetną, aczkolwiek osamotnioną załogą, w konflikcie z władzami (których „organem” mieliśmy być), obok „Solidarności” przeżartej bezpieczeńką (z agentem SB jako szefem Zarządu Regionu). „Afera Watergate” na naszych łamach przeorała moim piórem miejscowe układy i zmioła ówczesne władze partyjne i administracyjne województwa. Dziennikarstwo stało się naprawdę czwartą władzą służącą społeczeństwu, powiało demokracją.

Stan wojenny przekreślił nadzieje, sprowadził dziennikarzy do roli psów na łańcuchu, które mają szczekać jak i kiedy im każą, albo nie szczekać wcale. Wykonywanie zawodu w tych warunkach było dla mnie niemożliwe, efekt weryfikacji oczywisty.

W 89 zabrakło mi łokci i siły przebiccia, by powrócić. I ciążyła gorycz, gdy na zjeździe reaktywującym SDP usłyszałem podziękowania Stefana Bratkowskiego za obfitą pomoc dla wyrzuconych z zawodu. To była jakaś pomoc?

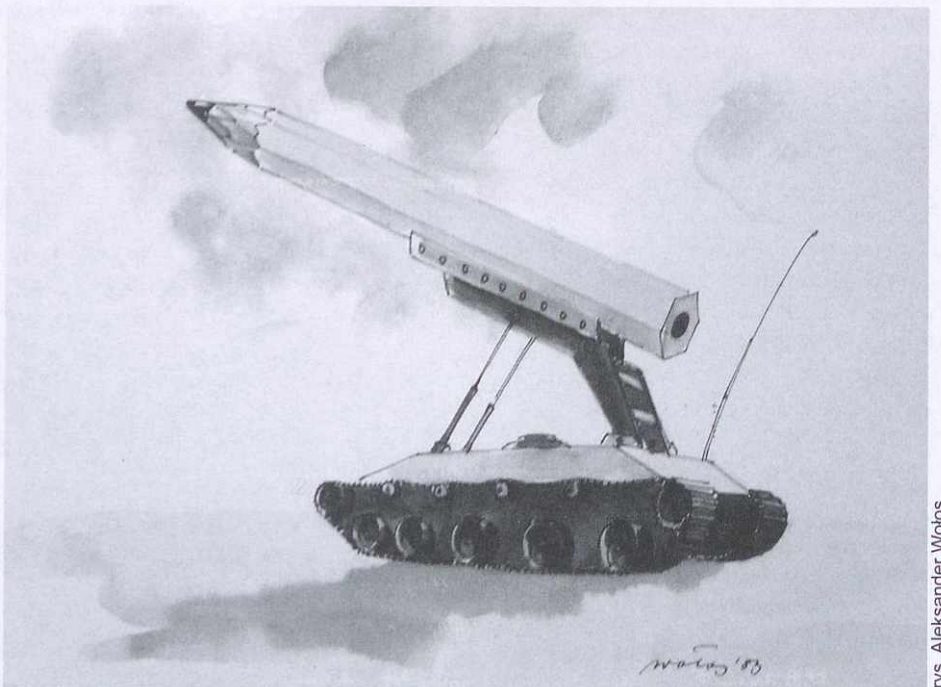
Wróciłem w latach dziewięćdziesiątych na łamach „Dziennika Pojezierza” na prośbę Eli Cieśniarskiej. Pisałem recenzje, felietony, wywiady i publicystykę za honorarium równe stawkom maszynistek za przepisywanie. Trwało to do... trzaśnięcia drzwiami, bo zostaliśmy się gwałtownie z redaktorem B. z powodu naruszenia przeze mnie jakiegoś lokalnego tabu. (Jakiego? Nie wiem do dziś...)

Trzeci raz zawód upomniał się o mnie propozycją redagowania „Bez wierszówki”. To najspokojniejsza, niespieszna przygoda, jak powrót do przedszkola czy szkoły podstawowej. Szkoda, że trwała krótko z powodów ode mnie niezależnych.

Teraz, gdy mam czas na refleksje podczas dyżurów nocnego stróża, którym jestem, z tytułu wieku i stażu pozwolę sobie na mentorstwo pod adresem adeptów zawodu dziennikarskiego. Po pierwsze: nie jest ważne co myślisz, jak piszesz i co napisałeś, bo o twojej karierze decyduje to, czy wyczuwasz polityczne wichury i lokalne zawirowania, czy orientujesz się w personaliach, układach i układzikach, trendach i obowiązującym tabu. Po drugie: pamiętaj o pięciu przykazaniach, które mogą zmienić kontekst, ale obowiązują cię zawsze i wszędzie: 1. nie myśl, 2. jeśli myślisz – nie mów tego, 3. jeśli myślisz i mówisz – nie pisz, 4. jeśli myślisz, mówisz i piszesz – nie podpisuj, 5. jeśli myślisz, mówisz, piszesz i podpisujesz – to się nie dziw.

I uważaj, do tego zawodu wraca się bez względu na wszystko, to rodzaj szalonej miłości do niewiernej kochanki...

Ryszard Borkowski



rys. Aleksander Wotek

Europejska Wieża Babel – kontynuacja

Tajniki EDA

Zbigniew Wytrązek

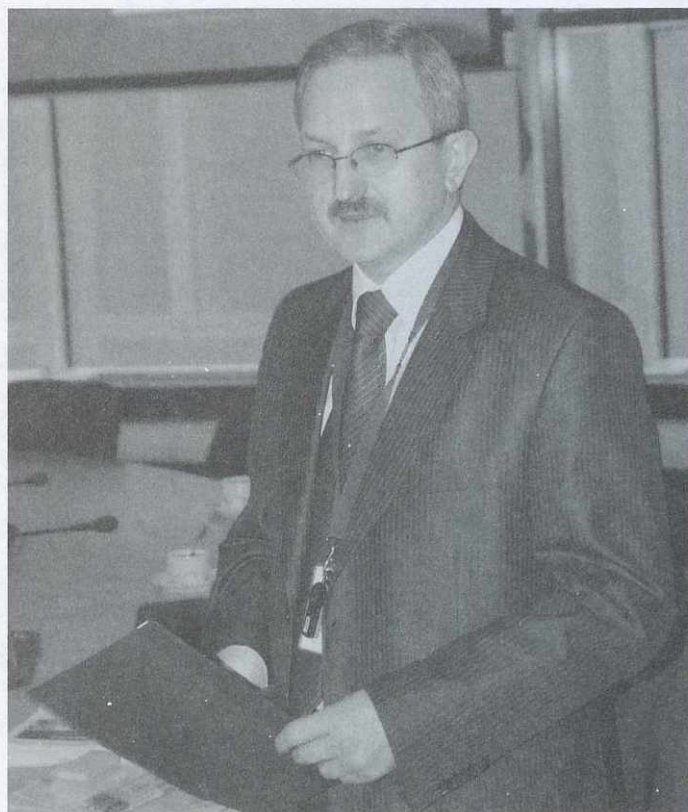
Instytucje Unii Europejskiej, ze swoją różnorodnością podejmowanych problemów i decyzji, daleko wykraczających poza stowarzyszeniowe kraje, są tak złożonym organizmem, że chyba jeszcze nikomu nie udało się ich ogarnąć.

Przypuszczam iż nawet najważniejsze osoby Unii, przewodniczący Parlamentu Europejskiego Hans-Gert Pöttering czy Jose Manuel Barroso, szef Komisji Europejskiej, też mają z tym problem i pewnie korzystają z całego sztabu zawodowych „podpowiadaczy”. Zatem NIK nie powinien się dziwić, że po dwóch miesiącach, jakie upłynęły od wizyty polskich dziennikarzy w Brukseli, moje wyobrażenia o sprawach, którymi na początku grudnia ubiegłego roku zajmowali się unijni politycy, z konieczności musiały ulec całkowitemu przewartościowaniu. Chciałem pisać o działaniach Europejskiej Agencji Obrony (EDA), której specyfikę próbował nam przybliżyć generał Adam Sowa, Zastępca Dyrektora Wykonawczego ds. Operacyjnych. Mówił bardzo ciekawie, a co najważniejsze, w tonie sugerującym, że „zdradza” największe tajemnice kuchni w której pracuje. I chociaż swoje wypowiedzi często opatrywał klauzulą najwyższej poufności, chyba dobrze wiedział, że większość z nich – medialnie bardzo nośnych – znajdzie się natychmiast na czołówkach lokalnych gazet w Polsce. Ale to, co jeszcze przed kilkoma tygodniami nosiło znamiona prasowych przecieków, dziś jest informacją szeroko kolportowaną, usankcjonowaną unijnymi decyzjami.

Generał mówił o prowadzonych badaniach nad znalezieniem takich form komunikowania w trakcie wojskowych operacji, których w żaden sposób nie można byłoby zakłócić czy zniekształcić. Ale najważniejsze, informował generał, by „radio programowane”, jak je określał, umożliwiała bezkolizyjne porozumiewanie się na niższych szczeblach decyzyjnych. Co w przekładzie na język bardziej ludzki znaczyłyby ni mniej ni więcej, jak swobodną rozmowę jadących obok siebie transporterów opancerzonych, z których jeden należy do kontyngentu polskiego, zaś drugi, np. włoskiego.

Albo inny z poruszanych przez generała tematów, szukanie najkorzystniejszych rozwiązań przy budowaniu tzw. „pasywnej obrony”, która całkowicie wykluczy możliwość trafienia w trakcie operacji zwiadowczej na nieoznakowane pole minowe czy przydrożną pułapkę z ładunkiem wybuchowym. Wdrożenie owego programu, jak tłumaczył generał Sowa, pozwoliłoby uniknąć elementu zaskoczenia, ponieważ przed rozpoczęciem operacji, cały teren akcji zostałby przeszukany przez satelitę, a każda mina dokładnie zlokalizowana. W grudniu ubiegłego roku wszystko rozbijało się o pieniądze. Duże pieniądze, ale okazało się, że tam, gdzie chodzi o bezpieczeństwo unijnych operacji kryzysowych (działaniami obronnymi zajmuje się NATO – red.), obecnie 12, w tym dwiema wojskowymi (Czad, Kongo) – można się dogadać. W połowie stycznia Parlament Europejski przyjął dyrektywę, która określa procedury zamówień publicznych na dostawy towarów i usług, stosowanych dla zagwarantowania bezpieczeństwa i obronności Unii lub jej państw członkowskich. Dyrektywa ustanawia wspólny rynek wyposażenia obronnego i usług, łącząc wymogi przejrzystości procedur zamówień publicznych z koniecznością ochrony interesów państw członkowskich w dziedzinie bezpieczeństwa. Dzięki nowym przepisom, państwa członkowskie będą mogły wydawać mniej na zaspokojenie swoich potrzeb zbrojeniowych. Zapisy dyrektywy, odnoszące się do podwykonawstwa, nie zakazują zawierania uzgodnień kompensacyjnych, jedynie przyczynią się do ograniczenia nielegalnego offsetu oraz małym i średnim przedsiębiorstwom ułatwią dostęp do tego rynku. A oto przecież generałowi chodziło.

W ciągu ostatnich 20 lat wydatki w dziedzinie obronności uległy zmniejszeniu o połowę w wyniku tzw. „zysków płynących z pokoju”, co doprowadziło do zmniejszenia obrotów i zatrudnienia oraz do ograniczenia in-



Fot. Antoni Paweł Wiszowaty

Generał bryg. dr inż. Adam SOWA, zastępca szefa wykonawczego Europejskiej Agencji Obrony

westyacji w badania i technologie. W 2006 r. wydatki UE (z wyłączeniem Danii) w dziedzinie obronności wynosiły 201 mld euro (47 mld w Zjednoczonym Królestwie, a 35 mln euro na Malcie), z czego na zamówienia w dziedzinie obronności wydano 91 mld euro (39 mld euro na inwestycje, w tym wydatki na badania i rozwój, 43 mld na operacje i konserwację oraz kolejnych 9 mld

na pozostałe wydatki, w tym na działania dotyczące infrastruktury i prac budowlanych). Dla porównania, w tym samym roku USA wydały na obronność ogółem 491 mld euro, tj. 4,7% PKB. Wydatki na operacje i konserwację wyniosły około 169 mld, a na inwestycje około 141 mld euro.

Źródło:
własne i EuroparlPress

Jak „Pleban” do Moskwy pojechał

Joanna Wańkowska - Sobiesiak

Z ostatniego numeru „Debatty” dowiedzieliśmy się, że nasz niezwykły kolega był współpracownikiem tajnym SB i miał pseudonim „Pleban”. Pewnie był, każdy w jego sytuacji by był. Autor artykułu nie pokusił się żeby sprawdzić czemu był. A więc mu dopowiem. Był, bo miał prawie niewidome dziecko i chciał wyjechać usilnie do Moskwy, bo tam – w owych czasach – okulistyka stała na najwyższym poziomie. W podobnej sytuacji był premier Buzek i też ponoć coś podpisał.

Uczono mnie od dziecka, że to Pan Bóg będzie sędzią żywych i umarłych. Najwidoczniej chłopcy ipenowcy dostali jakieś szczególne prawo do sądenia. Jeśli nie jest to prawo boskie, a ludzkie – ustanowione przez wszakże omylnych ludzi – to współczuję. Po latach można okazać się – jak uczy nas historia ostatniego półwiecza – że nie było to prawo, ale bezprawie.

Panowie, jeśli chcecie, czy musicie, to maglujcie żywych. Zmarłych zostawcie w spokoju. Oni już się nie mogą bronić. ■

1895 lat temu w Rzymie

Okruszkami liter

Piotr Obarek

Posługiwanie się literą jest czymś tak naturalnym jak spożywanie pokarmu. Czytając gazety, periodyki, otwierając pocztę, w różnych codziennych sytuacjach, mamy do czynienia ze słowem pisanym. Początkowo porozumiewano się za pomocą kolorowych sznurków, muzelek, obrazków, by wreszcie po tysiącach lat dojść do systemu alfabetycznego.



Kapitała. Napis na tablicy z kolumny Trajana (ok. 114 r. n.e.).

Współczesne kroje służą nam do utrwalania i przechowywania zawilości ludzkiej myśli, dźwięków. Jest to jeden z większych sukcesów cywilizacyjnych.

Pismo łacińskie bezpośrednio wywodzi się z greckiego. Etruskowie przejęli je od Greków ok. VIII w. p.n.e, następnie przekazali je innym plemionom Italii, między innymi Rzymianom. Ci dostosowali je do potrzeb własnej mowy, tworząc alfabet rzymski o najwyższym stopniu doskonałości. Twardym znakiem greckim nadali formę bardziej okrągłą, tworząc nieosiągnięty dotąd wzór pisma zwany KAPITAŁĄ.

Pismo to charakteryzowało się harmonijnym zestawieniem elementów liniowych (linie cienkie i grube) oraz szeryfami. Jego niezwykła elegancja ukazywała się przez rycie dłutem w kamieniu. Pismo to przetrwało do naszych czasów, używane przez narody europejskie, stanowi prawzór dzisiejszego rodzaju liter, zwanych antykwa. Na fundamencie tego pisma stworzono i nadal tworzy się wszystkie nowe kroje.

Dokładne jego znaki zachowały się na łuku Tytusa i Kolumnie Trajana w Rzymie. Wszystkich zainteresowanych historią namawiam do odwiedzenia tych miejsc i bezpośredniego kontaktu z kolebką cywilizacji pisma łacińskiego (europejskiego).

Początkowo był to alfabet majsukulowy (duże litery – wersaliki) i

w drodze ewolucji przekształcił się w alfabet minuskułowy (małe litery). Wzorem dla wynalezionego przez Jana Gutenberga ruchomej czcionki (1440 r.) było pismo odręczne. Czcionki wycinano z drewna, a w późniejszym okresie odlewano z metalu i tak do końca XX wieku.

Od momentu wynalezienia druku, rozwój pisma przebiegał dwutorowo – jako pismo odręczne oraz czcionkowe, ściśle związane z rozwojem sztuki drukarskiej. Twórcami najpopularniejszych do dziś używanych krojów byli w XVI w. – Francuz C. Garamond, w XVIII w. – Włoch G. Bodoni, Anglik J. Baskerville.

W Polsce w dziedzinie nowoczesnej typografii najbardziej zasłużył się Adam Półtawski (1881-1952). Zainicjował dyskusję zmierzającą do powstania polskiej czcionki. Jako pierwszy stworzył krój pisma, uwzględ-

niający uwarunkowania języka polskiego. Antykwą Półtawskiego bo tak ją nazwano, wyprodukowana została 1931 r. w trzech odmianach: zwykłej, półgrubej i pochylej w stopniach od 6 do 48 punktów i była używana przez kilka dekad do 1992 roku, kiedy to Warszawska Odlewnia Czcionek (jedyna w powojennej Polsce) zakończyła produkcję. Półtawski zwrócił uwagę na zmienność częstotliwości występowania liter w różnych językach, by określić optymalny jej wygląd w języku polskim. Badał najczęściej powtarzające się połączenia liter. Doszedł do tego, że specyfiką języka polskiego jest oprócz właściwych mu liter ze znakami diakrytycznymi, częste występowanie w, k, y, i, z – znaków z wieloma ukośnymi kreskami. Efektem tych działań miał być lepszy wygląd wierszy i całych stronnic, czysty, spokoj-



Piotr Obarek, urodzony w 1953r. w Działdowie. Studia na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie, dyplom w 1977 roku u prof. Henryka Tomaszewskiego. Zajmuje się plakatem, grafiką użytkową, aranżacją wnętrz i wystaw, malarstwem, rysunkiem, w twórczej młodości – także grafiką prasową. Profesor nadzwyczajny UWM, dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych, dziekan Wydziału Sztuki. Autor 15

wystaw indywidualnych i uczestnik licznych wystaw zbiorowych w Polsce i poza jej granicami. Autor projektu obecnego herbu Olsztyna, logo i godła UWM oraz insygniów rektorskich; współtwórca rzeźby spiżowej Jana Nepomucena w Olsztynie, twórca nagrodzonego plakatu oraz billboardu z okazji 650-lecia Olsztyna. Wyróżniony nagrodami rektorskimi za osiągnięcia naukowe i organizacyjne. W roku 2002 otrzymał Złotą Odznakę Związku Polskich Artystów Plastyków.



Rozwój pisma łacińskiego z alfabetu greckiego.

ny i doskonale czytelny krój pisma..


Nowe technologie składu, wprowadzenie komputerów, stanowi wyzwanie dla młodych twórców polskiej typografii. Podejmowane są wciąż próby stworzenia i wdrożenia typowo polskiego fontu (kroju pisma).

Powyższy tekst poświęciłem skrótemu opisowi historii litery łacińskiej, by uświadomić Państwu jakie są korzenie pisma, z którym mamy do czynienia w postaci napisów wykutych w kamieniu, wrytych w metalu, na szyldach, plakatach, opakowaniach, książkach, czasopiśmie, drukac

Litera jest częścią współczesnego świata, wyrażeniem myśli i uczuć. Odpowiednio zakomponowany tekst dostarcza przeżyć estetycznych jak inne dziedziny sztuki.



Współczesny rysunek rzymskiej kapitały. Wzór liter z kolumny Trajana uzupełniony O, H, J, K, U, W, Y, Z (114 r. n. e.).

 Galeria fotografików

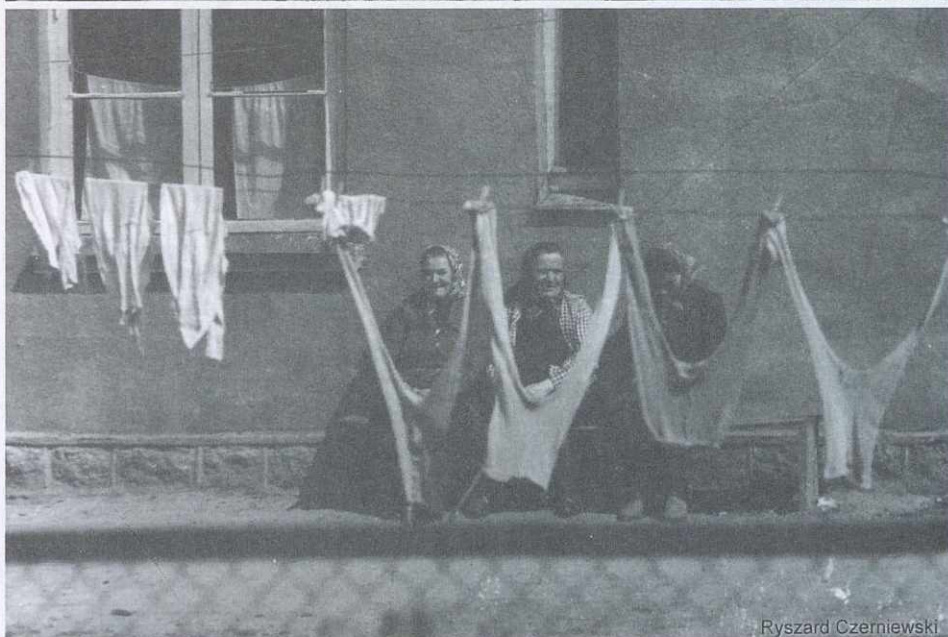
Ryszard Czerniewski

W ilnianin z urodzenia, olsztynianin z ukorzenia – fotografik, fotoreporter, to o nim mawiało się, że „patrzy wizjerem” swego aparatu. To zabawne, on uczestnicząc w wielu konkursach fotograficznych, jakoś nie zdobył pierwszej nagrody. Za to był siedmiokrotnie ekspozowany na World Press Foto w Hadze i tam zdobył pięć wyróżnień. Pamiętam, jak zrywał się przeglądając gazety i dostrzegając zdjęcia „bezludzkie”, bo taka fotografia czemu i komu ma służyć? Pięknoduchom.

W Olsztynie zaczął się ukorzeniać w 1951 roku. Był fotoreporterem „Głosu Olsztyńskiego” i późniejszej „Gazety Olsztyńskiej” gdzie pracował do czasu przejścia na emeryturę w 1990 roku. Jego dorobek, to setki tysięcy zdjęć, to świat przybliżany jego obiektywem, i przezeń przefiltrowany spojrzeniem błyskawicznej reakcji: że warto tę chwilę, grymas, sekwencję, ułożenie cieni, barw etc. utrwalić.

W jednym z wywiadów Ryszard Czerniewski powiedział m.in.: – Fotografia prasowa bazuje na wydarzeniach – coś się dzieje, dobrego czy złego. Jak jest wszystko w idealnym porządku, to fotoreporter właściwie nie ma co robić. (...) Fotografia nie tylko ma pokazywać, ona musi coś wyrażać. Nie chodzi o poprawne zdjęcie. Dobre zdjęcie zapada w człowieka, tkwi w nim i daje materiał do przemyśleń. Jeśli widz myśli: „o, to jest coś”, to twórca może być zadowolony. W Hadze ekspozowano moje zdjęcie przedstawiające chłopca ściskającego bochen chleba. Czy i dziś nie walczymy o byt?

kjp



Ryszard Czerniewski



Ryszard Czerniewski

Nasze zblizenia

Siedemset procent normy

Aleksander Wołos

Jak przystało na uczonego Aleksander Wołos ma dobrze ukształtowany zmysł analityczny. Podczas penetracji archiwów, bibliotek, a kiedy ich zbiory okazały się niewystarczające, sięgając do zakamarków, natknął się na bogatą warstwę faktów, które - opisane poniżej - stanowią będą tło odkryć właściwych (uchylając rąbka tajemnicy - z zakresu historii prasy lokalnej).

Od kilku miesięcy, w programie pierwszym TVP, emitowany jest teleturniej, pod znamienym tytułem „300% normy”. Prowadzi go, z właściwym sobie humorem, Maciej Orłoś. Bicie rekordów w tzw. socjalistycznym współzawodnictwie pracy oraz wykonywanie zadań planowych przed terminem, to była dla mojego pokolenia namacalna rzeczywistość - zwłaszcza we wczesnej fazie PRL. Ale, te tytułowe 300 procent w teleturnieju, to drobiazg wobec wyników osiągniętych we współzawodnictwie pracy podczas odbudowy Kortowa.

Z chwilą, gdy Rozporządzeniem Rady Ministrów z 31 maja 1950 roku powołana została do życia Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie (na bazie Wyższych Szkół Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie i Łodzi, z równo-

czesną ich likwidacją), odbudowa Kortowa, jako przyszłej siedziby nowej uczelni, stała się w Olsztynie sprawą pierwszorzędną.

Zadanie odbudowy i rozbudowy Kortowa powierzono Olsztyńskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego (OPBP), a kierownikiem budowy mianowano technika budowlanego Witolda Makarskiego (jego siostrzeńiec dr Jerzy Adomas jest wykładowcą na Wydziale Kształtowania Środowiska i Rolnictwa UWM). Ponieważ OPBP nie miało dość siły roboczej do wykonania pilnego zadania, to zwrócono się o pomoc do młodzieży akademickiej.

Na apel Uczelni zgłosiło się już w czerwcu 1950 roku podobno około 300 studentów, głównie z WSGW w Łodzi i Cieszynie, ale także z Politechniki Łódzkiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego,



ryc. 3 Jędrzej Cichoński (Ali Baba) i Witold Makarski (kierownik budowy)

a nawet z łódzkiej „Filmówki”. Nowopowstała Uczelnia miała przecież rozpocząć swą działalność dydaktyczną już 1 października tego roku.

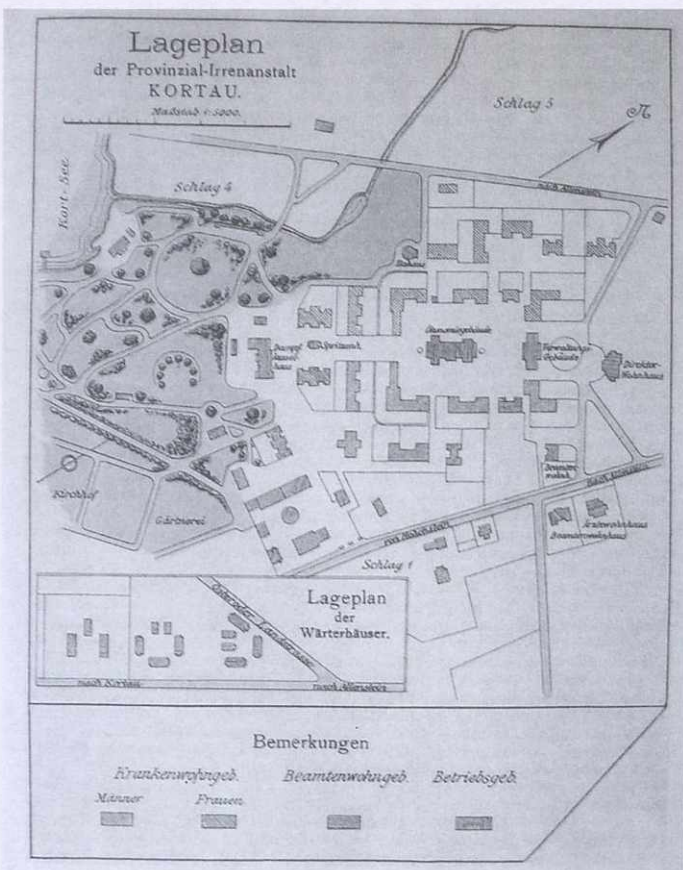
Przeznaczony na Uczelnię obiekt, po byłym Zakładzie dla Umysłowo Chorych w Kortowie (ryc. 1), miał wprowadzić 27 różnej wielkości budynków niezniszczonych (1), lecz większość z nich wymagała adaptacji na potrzeby szkoły wyższej: sale wykładowe, laboratoria oraz mieszkania dla studentów i pracowników uczelnianych. Ponadto sześć spośród największych obiektów było spalonych (bez żadnej potrzeby, chyba jako zemsta na rzeczach martwych) po zajęciu Kortowa przez Armię Czerwoną w 1945 roku, i uprzednim wymordowaniu pacjentów i personelu szpitala (5). Trzy ze spalonych bloków (38, 39, 41), było w całkowitej ruinie i wymagało odbudowy od fundamentów. Nie jest więc prawdą, że większość budynków Zakładu dla Umysłowo chorych w Kortowie, jak pisze Piechocki, była w 1945 roku spalona.

Heroiczny czyn studentów przy odbudowie Kortowa opisał Andrzej Mularczyk w zbeletryzowanym reportażu „Szturm na Kortowo” (2). Ta 42-stronicowa książeczka jest typowym przy-

kładem pisarstwa powstającego w tym okresie na tzw. zamówienie społeczne.

Oto przybywający do Kortowa studenci zaczynają organizować się w grupy. Jako pierwsza powstała brygada, pod przewodnictwem Jędrzeja Cichońskiego (ryc. 3), studenta z WSGW w Łodzi, który - z racji swej postury, śniadej cery i okazałej brody - został przez kolegów nazwany Ali-Babą. (Cichoński ukończył studia na Wydziale Rolniczym olsztyńskiej WSR w 1952 roku). Grupa ta zainicjowała „socjalistyczne współzawodnictwo pracy”. Brygada Ali-Baby przodowała osiągając coraz wyższe procenty normy, a we współzawodnictwie z brygadą robotników wykwalifikowanych zdobyła „Sztandar Przodownika” wykonując 700 procent normy!

Ociągający się w pracy, tzw. bumelanci, byli publicznie piętnowani na zebraniach w świetlicy (ryc. 2, bl. 20a) i na plakatach. Grupa, pozostająca w tyle we współzawodnictwie, była nazywana „brygadą leniwców”. Z nimi to przeprowadzane były rozmowy indywidualne (przez zarząd ZMP i egzekutywę partyjną), zakończone samokrytyką „leniwców”. Te metody wychowawcze oraz przydzielenie „leniwców” do przodujących grup, dały dobre rezultaty.



ryc. 1 Plan Zakładu dla Umysłowo Chorych z 1913 roku

W jednej z brygad pracował również Emil Kalamarz, student WSGW w Cieszyńcu. Ukończył on następnie studia na Wydziale Rolniczym olsztyńskiej WSR w 1952 roku, równocześnie z Jędrzem Cichockim. Po studiach, aż do emerytury pracował jako nauczyciel akademicki w Katedrze Zoologii. Wówczas, w 1950 roku, Emil pracował głównie przy odbudowie bloku 39 oraz przy adaptacji bloku 20 na mieszkania dla studentów. W późniejszych latach w bloku 20 mieszkali pracownicy Uczelni (m.in. mgr Emil Kalamarz, później doktor). Budynek ten w roku 1978 spłonął, a na jego miejscu wzniesiono gmach Wydziału Biologii (otwarty w 2002 roku).

Według relacji Emila Jędrzej Cichocki był znacznie starszy od swoich kolegów, a do wyścigu pracy był motywowany nie tylko względami politycznymi. Miał już własną rodzinę i chciał zarobić na kupno wózka dla swego dziecka. A na budowie Kortowa dobrze płacono, co potwierdza również Edward Michalski.

Studenci, jak pisze Andrzej Mularczyk, „zaczęli pracować

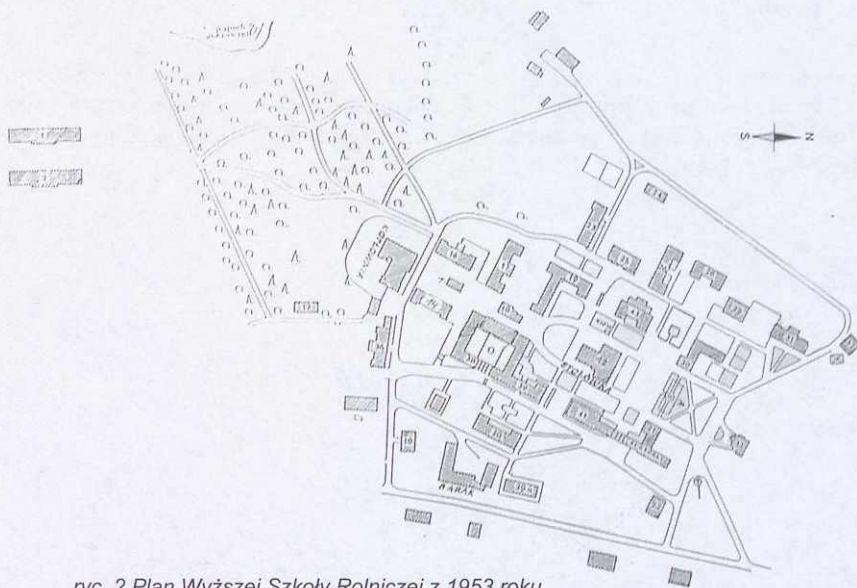
przy różnych blokach i przy różnych pracach: przy murowaniu, betonowaniu, przy robotach ziemnych.” Można jednak przy puszczać, że pracowali głównie przy odgruzowywaniu zrujnowanych obiektów, rozbiórce murów odbudowywanych ze zgliszcz bloków oraz przy transporcie materiałów budowlanych (głównie cegieł) z dworca kolejowego.

Ali-Baba ze swoimi chłopcami (ryc. 4) pracował przy odbudowie bloku 43 (dziś Plac Cieszyński 1) - według projektu arch. Edwarda Michalskiego - z przeznaczeniem na siedzibę Wydziału Mleczarskiego (ryc. 5). Blok ten był w późniejszych latach rozbudowywany i połączony z ocalałym blokiem 30. Ten zaś był siedzibą Rektoratu

WSR do chwili ukończenia odbudowy bloku 21.

Architekt Edward Michalski, przez przyjaciół i znajomych zwany „Michałem”, jest znakomitym karykaturzystą portretowym. Uwiecznił wiele znanych olsztyńskich postaci, głównie ze świata kultury.

(dokończenie w następnym numerze)



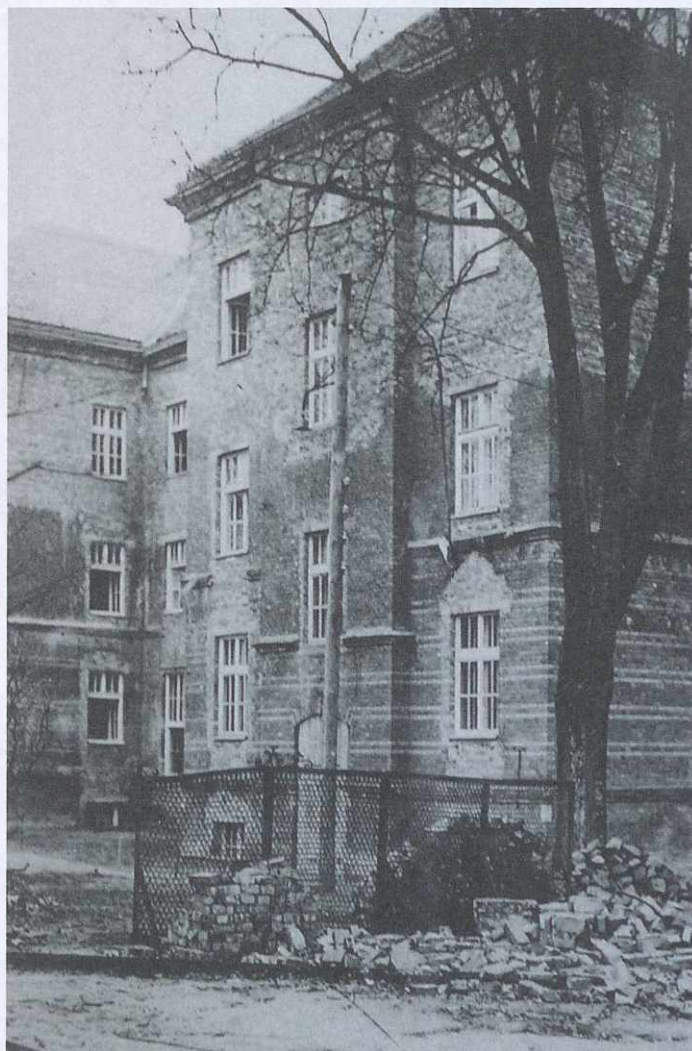
ryc. 2 Plan Wyższej Szkoły Rolniczej z 1953 roku

*Кочкарену
Пло. Кисроавнукой В-56
S-P-B*



*Kortowo d. 12-8-50,
Grupa Lotna
Cichocki J., Kuasnerola, Petka
Jitasko*

ryc. 4 „Grupa lotna” Jędrzeja Cichockiego



ryc. 5 Blok 43 w budowie

Razem z dostawami chleba jechała „Gazeta Gietrzwałdzka”.

Tatko z pomnika uśmiecha się i cieszy

Andrzej Dramiński

Właściwie powinno być odwrotnie. To nie jego pomnik, ale dzieło powinno dominować. A przed domem z napisem Księgarnia A. Samulowski przy schodzeniu z Bazyliki rzuca się w oczy popiersie Tatki z Gietrzwałdu, a tablica na ścianie za nim, jakby ukryta w jego cieniu. A ona tyle znaczy: „Tu w tym domu w dniu 16 kwietnia 1886 r. wydrukowano pierwszy numer Gazety Olsztyńskiej”.

Jak pisze Janusz Jasiński w książce „Andrzej Samulowski 1840-1928.

O Narodowe Oblicze Warmii” – „potrzebę istnienia polskiego pisma na Warmii wyraził już w roku 1872: „Tu się więc znów pokazuje brak pisma polskiego, prowincjonalnego, które by sprawy nas szczegółowo dotyczące z gruntu rozbięrało”. I dalej: „Trzeba dać wiarę relacjom rodziny, że Samulowski pojechał do Poznania po maszynę drukarską, a ponieważ Liszewski nie zdążył przygotować pomieszczenia w Olsztynie, zawiózł ją tymczasowo do Gietrzwałdu, gdzie wydał próbny numer „Gazety Olsztyńskiej” pod datą 25 marca 1886 roku. Właśnie trudności lokalowe spowodowały, że pismo zamiast od 1 zaczęło się ukazywać od 16 kwietnia”.

Pomysły spod dachu

Pod tym samym dachem po 104 latach zrodził się pomysł innego wydawnictwa „Gazety Gietrzwałdzkiej”.

Mówi Wojciech Samulowski prawnuk Andrzeja Samulowskiego, od 1990 roku na dwie kadencje wójt gminy Gietrzwałd: – Takim zasadniczym impulsem była odzyskana

w 1989 roku wolność. Rok później po raz pierwszy wybierano w wolnych wyborach samorząd. Wszystko miało zależeć od mieszkańców i wybranych przez nią przedstawicieli. Ale jak władza, choć z samorządowego nadania miała dotrzeć do współmieszkańców?

– Wprawdzie na jednym z pierwszych zebrań Zarządu

ówczesnej Gminy rzuciłem pomysł: wydawajmy gazetę, to ani nie był to wielki pomysł, ani nie wiedzieliśmy jak go zrealizować.

Podstawą samej idei były lektury, szczególnie książek profesorów Jana Regulskiego i Michała Kuleszy, wydawanych przez Fundację Rozwoju Demokracji Lokalnej. Powoływali się

oni na to, że władza ma się dobrze komunikować ze swoimi wyborcami. Ale przede wszystkim chodziło o informacje: jak ci, którzy rządzą wydają pieniądze? Władzy to ułatwia aktywność, bo wie, że w ten sposób jest kontrolowana. Świadomość bycia pod czuwającym okiem zwykłych mieszkańców ma wyćwiczyć jak najlepsze decyzje.

Szukanie autorów

Inną rzeczą jest pomysł, a inną – kto go może zrealizować. Nie miał kto pisać artykułów. trzech członków pierwszego Zarządu Gminy Gietrzwałd,



to biznesmeni. Odpowiedzieli krótko: nie mamy czasu. Zaproszenie przyjął Roman Kamiński, ówczesny rzecznik prasowy wojewody olsztyńskiego. Ale powiedział, że muszą być etaty i odszedł. Komitet Obywatelski „Solidarności” nie dał nikogo. Marek Gardzielewski mający swoją firmę drukarską MG w Unieszewie podpowiedział jak robić gazetę. Wtedy przyjęto tytuł i tematykę pierwszych artykułów. On też zgodził się na sfinansowanie pierwszych numerów. Swoje pióra zaoferowali: Elżbieta Krzyżanowska, olsztyńska publicystka i reportażystka wiele lat pracująca w „Panoramie Północy”, dyrektorka GOK Teresa Szymańska oraz ksiądz Jerzy Hajduga. Ten ostatni, poeta zresztą, miał chyba najlepsze publikacje. Gdy gazetę wydrukowano, to jak ją rozprowadzać? Najpierw robił to Marek Gardzielewski, potem piekarnia Jana Warmińskiego. Razem z dostawami chleba jechała „Gazeta Gietrzwałdzka”.

Ludziska czytali,

ale zaczęli mówić, że wójt zrobił sobie z tego biuletyn Urzędu Gminy. To redakcja zmieniła proporcje. Tylko jedna strona dla urzędu, a reszta dla mieszkańców. Lecz znowu pojawił się problem. Kto ma pisać? Stałych korespondentów nie było, inteligencja wcale się nie garnęła. Ale sprawnym piórem i chęciami do współpracy wykazał się Zbigniew Kukuć, dyrektor Szkoły Podstawowej w Sząbruku i pisze do dziś.

Najważniejszą funkcję – sekretarza – pełniła na początku bibliotekarka Janina Chorzelewska, po niej Marek Gardzielewski, no i ta z charyzmą redaktor Ela Krzyżanowska. Panią Elę wożono nawet samochodem po gminie by zbierała materiały. Ona nadawała ton nie tylko gminnemu piśmie. Do jej domu, zwanego pałacem z okazji dworskich dyskusji o Polsce wielkiej i gminnej, ściągali mieszkańcy gminy i rezydenci: red. Janusz Weiss i red. Andrzej Wojciechowski, były redaktor Radia ZET.

Numery wychodziły, gazeta była czytana. Ale trzeba było zabezpieczyć jej prawny byt, gdyż władza o orientacji innej niż Komitet Wyborczy Solidarności usiłowała gazetę przejąć, a poprzednią redakcję usunąć. Rejestracji dokonał Marek Gardzielewski. Wtedy w tej redakcji, gdzie wszystko o sprawach szczegółowo mieszkańców dotyczących odbywało się intuicyjnie sformalizowano stopkę. Redaktorem naczelnym została Teresa Samulowska, żona Wojciecha. Po śmierci redaktor Eli do nieformalnego wciąż zespołu dołączyła Grażyna Placek z Unieszewa. A w gazecie były nie tylko artykuły o dużych i małych problemach, bo także dokładne wyniki gminnych zawodów sportowych, kondolencje, pożyteczne informacje.

Zaglądamy do pierwszego tomu oprawionych najwcześniejszych numerów „Gazety Gietrzwałdzkiej”. W tym z numerem 1 z 28 września 1990 roku napisano: „Gazeta ta zrodziła się z potrzeby nowych czasów, które dzięki ogólnopolskim wydarzeniom ogarnęły nasze wsie. Każdy niemal dzień przynosi zmiany. Pozornie nowe życie nabiera nowych form istnienia i działania. Czas, w którym przyszło nam żyć, można nazwać historycznie ważnym”. W stopce widnieją nazwiska: Janina Chorzelewska, Marek Gardzielewski, Teresa Grodzicka-Szymańska, Grażyna Grzegorzewska, Jerzy Hajduga, Dorota Kowalewicz, Wojciech Samulowski, Władysław Umbras.

Czytelnicza trybuna

Ale nie tylko czas jest ważny. Bo „Gazeta Gietrzwałdzka” z rodzaju biuletynu, co jej zarzucano na początku, stała się żywą trybuną czytelników. Najwięcej emocji budzi obecnie pomysł wymyślenia nazw dla ulic. Na 3 str. najnowszego wydania z datą 20 marca 2009 roku tytuł: „Pierwszy wyrok w sprawie ulic” i informacja „Wojewódzki Sąd Administracyjny w Olsztynie częściowo unieważnił uchwałę wprowadzającą

nazwy ulic w Gietrzwałdzie. Chodzi o cztery ulice projektowane: Mazurską, Poprzeczną, Krótką i Warmińską. Wbrew przepisom na nadanie nazwy rada gminy nie uzyskała pisemnej zgody właścicieli gruntów. Zwrócił na to uwagę wojewoda warmińsko-mazurski i skierował sprawę do sądu... tymczasem pozew, w którym mieszkańcy skarżą uchwałę w całości, został już skierowany do sądu – za pośrednictwem rady gminy, bo tak mówią przepisy. Pod pozwem podpisały się 203 osoby”.

Nasze małe sprawy

Przedemną w domu naprzeciwno bazyliki pod wieloma zdjęciami rodzinnymi siedzi szczupła kobieta o pociągłej twarzy pani naczelna Teresa Samulowska:

– Jestem głową pisma formalnie. Najważniejsze dla nas, że piórem pomagamy w budzeniu nowego ducha u ludzi. A nas wciąż garstka: wraz ze mną jest Zofia Grzegorzycz, Zbigniew Kukuć i dobry duch, redaktor techniczny Marek Gardzielewski.

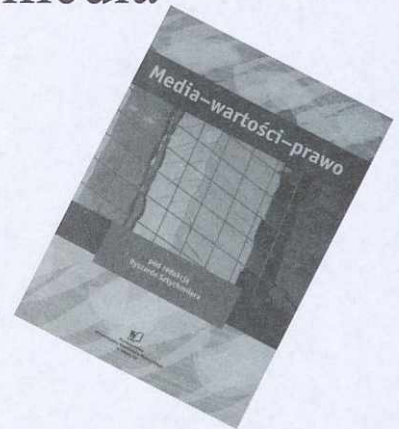
W ostatnim numerze w artykule „Zebranie w Gietrzwałdzie”: – „Burza z piorunami – tak można określić przebieg ostatniego zebrania wiejskiego w Gietrzwałdzie. Niemal równo rok po słynnym ubiegłorocznym zebraniu, na którym mieszkańcy opowiedzieli się przeciw nazywaniu ulic i pół roku po tym, jak rada gminy cichaczem ten pomysł przeforsowała, emocje nie opadły. W dodatku władze dołały oliwy do ognia – zaczęły starania o budowę nowego budynku GOK-u”. A jednocześnie rozpoczęły przygotowania do sprzedaży GOK-u upatrzonemu biznesmenowi.

Tak to gazeta obudziła mieszkańców, a mieszkańcy odnaleźli się w gazecie. W ostatnim numerze 8/448 na pierwsze stronie tytuł apel „Nic o nas bez nas.” „–Niekórtzy członkowie obecnych władz z pezetpeerowską przeszłością sądzili, że władza to my, której nikt nie będzie kontrolował. Bardzo się pomylili.”

Oj, jak się Tatko z pomnika uśmiecha i cieszy.

Z naszych lektur

Jakże nudne media



Natknąłem się na jedną z lektur, przygotowanych przez Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Ze względu na treści zapowiedziane w tytule – „Media-wartości-prawo, pod redakcją Ryszarda Szychmiller” – uznałem ją za lekturę obowiązkową.

Wstęp ułatwia orientację w lekturze książki – „Niniejsza publikacja powinna pomóc Czytelnikowi odpowiedzieć na pytanie, czy doświadczamy wpływu mediów? Jaki on jest w naszym odczuciu: częściście pozytywny czy częściście negatywny?” Upewniam się – co do zawartości książki – czytając spis treści. Oto jej bloki tematyczne czy rozdziały – Media a wartości religijne, Media a wartości moralne, Media a wartości patriotyczne, Wartości chrześcijańskie a ogólnoludzkie.

W rozdziale ostatnim jest krótki tekst „Prawda i uczciwość w mediach”. Składają się nań krótkie zdania, w rodzaju: „Kłamstwo jest ze swej natury godne potępienia.”

Po przeczytaniu tej książeczki (149 stron liczącej) posmutniałem. Boć przecież nie wszystko na tym świecie jest tylko negatywne, albo pozytywne, czarne, albo białe, grube lub chude. Smutek mój wynika z łatwości w podejściu do oceny dziennikarstwa. A może, co z ochotą oceniamy, dziennikarstwem nie jest? Tak więc i zbiór aktów strzelistych skierowanych do mediów, jest strzałem kulą w płot! Kim innym jest bowiem „Pressworker”, kim innym był dziennikarz. Po co współczesnym mediom dziennikarstwo? O tym podręczniki nie piszą. Zbierają wciąż pobożne życzenia. Autorom ode mnie – najlepszego.

KAJ

Z historii wzięte

Komunikacja społeczna

Trochę trąci to nudą, ale warto się wgryźć w zagadnienie. Oto studia nad komunikowaniem nie są wcale młode. Rozpoczęły się – jak to bywa – najprościej, od analizy prasy, pierwszego środka przekazu.

Za pioniera w tej dziedzinie uważa się Kaspara Stieler i jego analityczną pracę z 1695 roku.

Prawdziwy początek prasoznawstwa, jako systematycznego obszaru badawczego, znajdziemy na przełomie XIX i XX w. A jako wzorzec – cykl wykładów Karla Buchera, które ów uczony wygłosił na Uniwersytecie w Bazylei w 1884 roku. Były one poświęcone socjologii, prawu, statystyce i historii prasy.

Na początku XX wieku rozpoczęły się pierwsze ośrodki akademickie, zjawiające się problematyką prasy i dziennikarstwa. Do nastarszych zalicza się szkoły dziennikarskie na amerykańskim Uniwersytecie Missouri i w Niemczech, na Uniwersytecie w Lipsku.

W tym to czasie wyłoniły się obszary badań prasoznawczych – historia i socjologia prasy, prawo prasowe, teorie gatunków dziennikarskich, studia nad językiem prasy.

Na początku lat 30. i 40. ubiegłego wieku pojawiła się nowa dziedzina o interdyscyplinarnym charakterze, obszar studiów akademickich – nauka o komunikowaniu nazywana komunikologią. Jeden z jej analityków (A. Mattelart) uważa, że u jej podłoża legły filozofia, historia, geografia, psychologia, socjologia, etnologia, ekonomia, nauki polityczne, biologia, cybernetyka, matematyka.

Skromne marzenia

Nie wylewać dziecka z kąpielą

Zbigniew Wytrątek

**Kiedy słyszę o likwidacji osiedlowych domów kultury, rzekomo niepotrzebnych miejsc w krajo-
brazie Olsztyna i zbędnym balastem obciążającym czynsze mieszkańców – krew mnie zalewa.**



Marzą mi się pełne stadiony

I nie dlatego, że jestem przeciwny oszczędnemu gospodarowaniu moimi pieniędzmi, bo przecież w jakimś ułamku procenta, co miesiąc płacąc czynsz, też łożę na ich utrzymanie. Zastanawia mnie – przepraszam za wyrażenie – głupota, a może, używając nieco delikatniejszego określenia, krótkowzroczność moich współplemieńców, których koronnym argumentem za likwidacją, jest uczestnictwo w osiedlowych zajęciach dzieciaków z innych rejonów miasta. Co zdaniem oponentów czyni wiele zła i sprawia, że ich pieniądze nie trafiają do wyselekcjonowanej grupy, a do młodzieży najprzeróżniejszego autoramentu (czytaj, nie zawsze tak się zachowującej, jak byśmy sobie życzyli). Co z kolei u mnie wywołuje nieodparte wrażenie, że w ustach owych opozycjonistów pobrzmiwają dyskryminacyjne hasła i podział młodego pokolenia na moich i cudzych – znaczy lepszych i gorszych.

Śmiać się czy płakać? Ale najzabawniejszy w tym wszystkim jest dalszy tok rozumowania „oszczędzaczy”. Proponują, aby właśnie z tego względu, utrzymanie osiedlowych domów kultury przejęło miasto. Jakby zapominając, że „miasto”, to

również oni, a w takim przypadku – gdyby bzdurny pomysł wcielił w życie – obciążenie kieszeni każdego mieszkańca Olsztyna, czyli także ich.

Co roku odwiedzam Niemcy. I co roku szlag mnie trafia, gdy w najmniejszej wiosce widzę kompleksy sportowe z boiskami o sztucznej nawierzchni do gier wszelakich i krytą pływalnię. A organizatorzy małomiasteczkowej imprezy potrafią zachęcić do festynowych harców o przysłowiową czapkę gruszek, blisko 2 tysiące amatorów ulicznego biegania. W trakcie owych wyjazdowych sesji staram się również kultywować polskie przyzwyczajenia i nie rezygnować z oglądania w telewizji sportowych relacji. W niemieckich stacjach, które przy każdej okazji prezentują początki kariery rodzimych gwiazd. Bardzo to lubią, znaczy sięgać do korzeni, a historię najczęściej zaczynają od szkolnej ławy i pierwszych kontaktów ze sportem. Ważnych, bo wielokrotnie decydujących o późniejszej drodze. Życiowej i sportowej. Tej ostatniej w szczególności. Bo zachodni sąsiedzi dobrze wiedzą, że warunki w jakich się „oswaja” – co za brzydkie słowo – ze sportowym otoczeniem, są najważniejszym

elementem kształtującym charakter późniejszego idola.

Dlatego w Olsztynie także mi się marzą takie komfortowe warunki. Ogólnie dostępne, zgodnie z porzekadłem, „czym skorupka za młodu nasiąknie...”. Marzą mi się rodzice, którzy dostrzegają konieczność stworzenia odpowiednich warunków najmłodszym pasjonatom sportu. By zabawa w sport była należycie doceniona. Właśnie przez rodziców. I przez media, ale te – na szczęście – od pewnego czasu sporo uwagi poświęcają „kondycji” młodego pokolenia. A właściwie jej braku, co prowadzi do marginalizacji różnych form aktywnego wypoczynku. Tych związanych z kulturą, również. Ale gdy się przysłuchuje rozmowom młodych sportowców, którzy o swoich startach, oglądanych w telewizji zawodach, tak jakoś beznamiętnie opowiadają, to jest mi smutno i za czymś tęsknię. Jednak specjalnie im się nie dziwię. Może tak ma być, może to ja się starzeję i tęsknię za czymś, co dawno przebrzmiało – przeszło do historii. Jednak oglądając puste trybuny lekkoatletycznego stadionu czy garstkę miłośników ulicznego biegania – żal mi duszę ścisła.

Czy temu wszystkiemu winna młodzież, która od sportu bardziej woli piwo i puby? Czy to nie nasza wina, starych zgredów, którym przed laty ów sport przez małe „s” sprawiał mnóstwo radości, zaś dziś – syci i ospali – jedynie przed telewizorem śledzimy sportowe serwisy. I może dlatego nie chcemy zaakceptować pomysłów, by jak grzyby po deszczu, powstawały ogólnie dostępne obiekty masowej kultury sportowej. Bo są ważniejsze sprawy, ot chociażby kilkuzłotowa oszczędność w rachunku za czynsz.

„Pamiętajmy o ogrodach, przecież stamtąd przyszliśmy” – brzmiał refren popularnej przed laty piosenki. Pamiętajmy. ■

Zaczynała w studenckim radiu „Emitor” (WSP Olsztyn), potem przyszedł czas na profesjonalną rozgłośnię, której jest wierna do dziś. Nie wyobraża sobie innej pracy, zresztą już w wieku 10 lat oznajmiła wszystkim, że zostanie dziennikarką. To marzenie się spełniło. Przeszła przez poszczególne szczeble dziennikarskiej, radiowej kariery. Obecnie jest szefową Redakcji Społeczno-Kulturalnej Polskiego Radia Olsztyn. Uwielbia książki, nie tylko z zawodowego obowiązku, czego może być dowodem fakt, że podczas tej rozmowy przyznała się, że w swojej babskiej torebce... ma książkę. Jest dumna z tego, że jej radiowy zespół współpracowników tworzy zgrany, koleżeński kolektyw.

Ewa Zdrojkowska

– wyrosłam z radiem i książką

Twoja przygoda z radiem zaczęła się dopiero w latach studenckich, czy już może gdzieś wcześniej próbowałaś swych sił w dziennikarskim zawodzie?

Wcześniej nie. To jest kwestia pewnej aktywności, potrzeby nie tylko studiowania, ale również uczestniczenia w życiu studenckim, stąd ten pomysł na studenckie radio. Później była propozycja praktyk, bo radio „Emitor” nawiązało współpracę z rozgłośnią Polskiego Radia w Olsztynie ... i było to bardzo, bardzo dawno temu ... 11 lipca 1979 roku przyszedłam tutaj na praktykę ... i już zostałam.

Studenckie Radio „Emitor” (WSP w Olsztynie) obok Radia „Kortowo”, było taką kuźnią olsztyńskiego radiowego dziennikarstwa, czy coś z tamtych czasów procentuje do dzisiaj?

Od czasów, w których zaczynałam wiele się zmieniło. Były inne nośniki, taśmę zastąpiła cyfra. Nie zmieniły się natomiast wartości, podstawowe rzeczy, czyli odpowiedzialność za słowo i zasady etyki. W radiu studenckim liczył się zespół i myślę, że to jest istotne i ważne do dzisiaj. W mojej redakcji są ludzie utalentowani i wielokrotnie nagradzani, i ci ludzie umieją ze sobą współpracować. Omawiamy program, zgłaszamy propozycje i nie ma czegoś takiego, co można by nazwać wyścigiem. Ważny jest sukces indywidualny, ale ważne jest radio, program, czyli to, co robimy dla słuchacza, to jest nadrzędne. To jest świadomość bycia razem i pracy w zespole.

Parę lat temu otrzymałaś nagrodę „Edukacja XXI”, przyznaną również dziennikarzom za podejmowanie problematyki książki edukacyjnej, czyżby w dalszym ciągu drzemał w Tobie duch pedagoga?

To się tak nie ząbija. Ta nagroda była szalenie dla mnie istotna. Dostała ją trójka dziennikarzy; jeden z TVP, dziennikarka z Polskiej Agencji Prasowej i ja, dziennikarka z rozgłośni regionalnej. To było dla mnie bardzo ważne, bo to nie był start w konkursie, na który trzeba zgłosić jakieś swoje materiały. Po prostu gdzieś, ktoś dostrzegł moją pracę. Tę nagrodę dostałam za upowszechnianie książki w mediach. W moich audycjach zawsze było i jest miejsce na książkę.

Jakie audycje, które wymyśliłaś lub prowadziłaś, były i są prezentowane na radiowej antenie?

„Dziecinada” (pojawiła się w 2000 roku). Przyznaję się do opracowania koncepcji. Chodziło mi też o to, że jak dziecko zacznie słuchać audycji w wieku lat pięciu, to jest duże prawdopodobieństwo, że z tym radiem zostanie mając lat 15 czy 20. Audycja jest prowadzona przez młodych ludzi i przez dzieci, one omawiają, recenzują i rekomendują swoim rówieśnikom książki. Dużą satysfakcją jest dla mnie fakt, że kiedy młodzi słuchacze mają do wyboru jako nagrodę książkę lub film, wybierają właśnie książkę.

Kolejną audycją było „Szalone zdrowie” (nie ma już jej na antenie) poświęcone naszej



Nie wierzyłam w życie poza radiowe

kondycji fizycznej i psychicznej. Tam również była książka. Cały czas są na antenie „Rozmówki polsko-polskie”, moja autorska audycja, czyli rozmowy z pisarzami, poetami, twórcami kultury i tam też cały czas przewija się książka.

Podobno pracowałaś we wszystkich redakcjach Polskiego Radia Olsztyn, oprócz muzycznej, bo uwielbiasz tylko Budkę Suflera, to jakieś osobisty sentyment do tego zespołu?

Po prostu bardzo lubię Budkę Suflera. A wiesz dlaczego? Przecież oni śpiewają piosenkę zatytułowaną „Moje radio”!

Swoje zainteresowania literaturą wynosisz również poza studio radiowe, prowadząc spotkania z ludźmi pióra, nie tylko w Olsztynie, skąd ten niedosyt?

To nie jest kwestia niedosytu. Może raczej przypadku. Ktoś słuchał moich audycji, a potem zaproponował poprowadzenie spotkania z pisarzem. Jedna, druga i kolejna propozycja. Takie publiczne rozmowy o literaturze to duże wyzwanie (w studiu inaczej się jednak pracuje), ale i duża przyjemność.

Do tego wszystkiego, wolny czas najlepiej lubisz spędzać z książką na leżaku. Ty chyba naprawdę jesteś uzależniona od literatury?

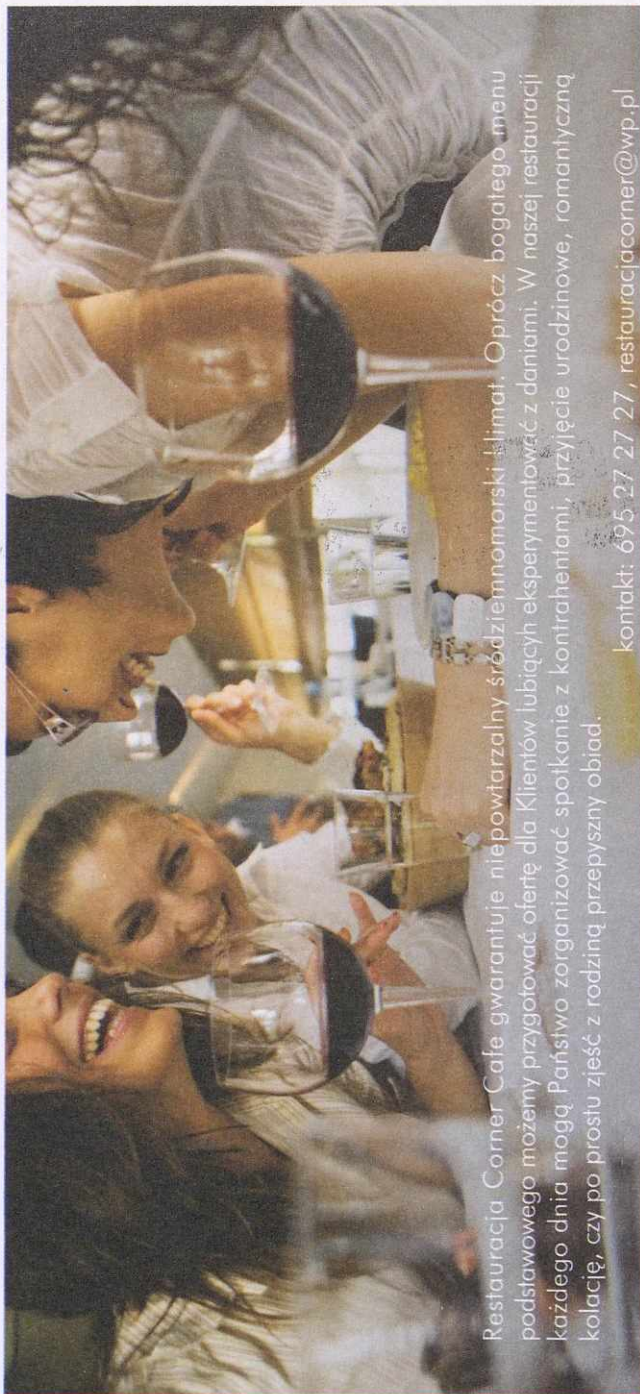
Tak, ale myślę, że to jest zdrowe uzależnienie. Tego się nie leczy. Jestem głęboko przekonana, że takich ludzi jest znacznie więcej i mam nadzieję, że jestem w dobrym towarzystwie. Moim ulubionym pisarzem jest Wiesław Myśliwski. Lubię literaturę faktu, ale też i klasykę, Prusa, Żeromskiego.

Gdybyś nie pracowała w radiu, to jaki zawód i dlaczego byłby najbliższy Twojemu temperamentowi i zainteresowaniom?

Nie ma takiej opcji, żebym nie pracowała w radiu! To jest trudne do uwierzenia, ale to prawda. Miałam 10 lat, kiedy powiedziałam, że skończę studia polonistyczne i będę dziennikarką. Mam nawet na to świadka, a jest nim mój polonista ze szkoły. Był nawet taki moment w moim życiu, że nie wierzyłam w życie poza radiowe.

Dziękuję za rozmowę i życząc kolejnych sukcesów, nie tylko związanych z połączenia mikrofonu i książki.

**Tekst i zdjęcie
Andrzej Zb. Brzozowski**



Restauracja Corner Cafe gwarantuje niepowtarzalny śródziemnomorski klimat. Oprócz bogatego menu podstawowego możemy przygotować ofertę dla Klientów lubiących eksperymentować z daniami. W naszej restauracji każdego dnia mogą Państwo zorganizować spotkanie z kontrahentami, przyjęcie urodzinowe, romantyczną kolację, czy po prostu zjeść z rodziną przepyszny obiad.

kontakt: 695 27 27 27, restauracja.corner@wp.pl

W W W . R E S T A U R A C J A C O R N E R C A F E . P L

RESTAURACJA
Corner Cafe

Z P O S I J A

SZKOLENIA

IMPREZY FIRMOWE

CATERING

W E S E L A

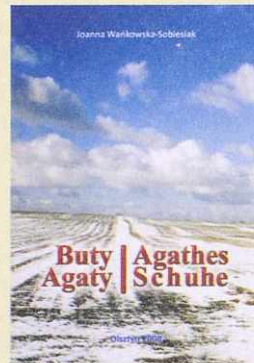


WYDAWNICTWO
DRUKARNIA
FOTOSKŁAD

STUDIO POLIGRAFII
KOMPUTEROWEJ „SQL” S.C.

NOWOŚĆ

Nakładem Wydawnictwa „SQL”
przy współpracy z Olsztyńskim Stowarzyszeniem
Mniejszości Niemieckiej w Olsztynie
w ostatnich dniach grudnia 2008 r., ukazała się nowa pozycja:



Joanna Wańkowska-Sobiesiak

BUTY AGATY / AGATHES SCHUHE

format B-5, 224 stron,

73 fotogramów,

w tym 24 fotografii barwnych,

3 aneksy źródłowe,

indeksy: geograficzny

oraz nazw i nazwisk.

Wydanie dwujęzyczne

w języku polskim i niemieckim.

Thumaczenia na język niemiecki:

André SCHMEIER

Thumaczenia na język polski:

Renata BARCZEWSKA

ISBN 978-83-88125-61-4

Cena det. 35 zł

Dystrybucja:

Olsztyńskie Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej w Olsztynie

oraz

Studio Poligrafii Komputerowej „SQL” s.c.

*O ile istnieje coś takiego,
jak – uporanie się – z przeszłością,
to polega ono na opowiadaniu tego,
co się zdarzyło (...)*

Ta myśl – autorstwa Hannah Arendt'a jest główną ideą napisania przez Joannę Wańkowską-Sobiesiak książki – będącej zbiorem 14 reporterskich wywiadów, dotychczas nie publikowanych, poświęconych problematyce kobiet mniejszości niemieckiej – mieszkanki Warmii i Mazur, ich losom po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren byłych Prus Wschodnich w 1945 roku i wywóźce do łagrów ZSRR.

To, co się wtedy zdarzyło – odcisnęło trwale piętno na życiu bohaterki reportażu. Jednym pozostały tylko przykre wspomnienia, innym wtedy to właśnie ich świat i życie legły w gruzach i już nigdy nie będzie tak jak miało być. Pełne emocji wspomnienia przeplatają się z ich obecnymi przemyśleniami i odczuciami.

Książka ta, choć napisana „do czytania” – lekkim reporterskim językiem stanowi jednak również cenne źródło wiedzy historycznej i socjologicznej, zarówno o „okresie wywóźki”, jak i o realiach życia po powrocie z zsyłki w rodzinne strony. Wartość poznawczą książki podnoszą załączone aneksy źródłowe i indeksy: geograficzny oraz nazw i nazwisk.

Wydanie w całości dwujęzyczne, łącznie z aneksami i indeksami – w języku polskim i niemieckim.

Studio Poligrafii Komputerowej „SQL” s.c.
10-684 Olsztyn, ul. Wańkowicza 24
tel./fax 089 542 03 39; 542 87 66
e-mail: studio@sql.com.pl